



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Poniedziałek, 24 lipca 2023 | Redaktorka prowadząca **Patrycja Maciejewicz** | Cena gazety **7,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 170.10362, 2

Nakład 64 tys. + **300 tys. prenumerat cyfrowych**

DUŻYFORMAT

EKONOMIA +

Marcin Wójcik
spytał osoby duchowne

CO KTO
MOŻE
NA WAKACJACH



FOT. GETTY IMAGES

• POLSKI
ziemniak
SCHODZI ZE SCENY

Mamy do wyboru ziemniaki egipskie, cypryjskie, szwedzkie, francuskie. Nadwiślańskich producentów dopada susza ► IV

Kraj

Tusk wciąga na sztandar aborcję

Aborcja i prawa kobiet będą jednym z haseł październikowego Marszu Miliona Serc. Lewica domaga się likwidacji przepisu, który pozwala ścigać za pomoc w zabiegu przerwania ciąży. ► 3

Biqdata

Skąd przyjdą nowi sąsiedzi

W ciągu najbliższych dwóch lat liczba osób przesiedlonych z 26 najbardziej nieszczyśliwych państw przekroczy 100 mln. Nie możemy uszczelnić przed nimi granic, musimy pomyśleć, jak im pomóc. ► VIII

Kultura

Pan Samochodzik – obraźliwy typ

Kto czyta po latach serię o Panu Samochodziku, musi znieść mizoginię i wykłady historyczne o uroku notki z Wikipedii. Czy warto? ► 13

ROSYJSKA INWAZJA
NA UKRAINĘ NA
WYBORCZA.PL

Aktualne informacje,
rzetelne analizy,
nieoczywiste opinie na
Wyborcza.pl

Wydaje Agora SA, nr indeksu 348198



2 RP

Od lat tolerowano niebezpieczne składowisko

Trucizny płoną



• W zielonogórskim Przylepie
paliło się 5 tys. ton
odpadów

FOT. WŁADYSŁAW
CZULAK / AGENCJA
WYBORCZA.PL

W zielonogórskim Przylepie w ogniu stało składowisko z 5 tys. ton toksycznych odpadów. Trucizna leżała tu prawie dziesięć lat. Politycy PiS wmawiają: „Sytuacja opanowana, wszystko jest w porządku”. Nie jest.

**Maja Sałwacka
Artur Łukasiewicz
Wojciech Czuchnowski**

Pożar z ogromną siłą wybuchł w sobotę po południu. Słupy ognia sięgały kilkunastu metrów, głośno wybuchwały beczki z toksyczną substancją. Paliła się hala w Przylepie, dziś dzielnicy 140-tysięcznej Zielonej Góry. Ogień gasiło ponad 200 strażaków, samoloty zrzucały wodę. Niemal na dobę wstrzymano ruch na liniach kolejowych z Zielonej Góry do Szczecina i Poznania. – Pożar jest opanowany – ogłosiło w niedzielę Rządowe Centrum Bezpieczeństwa.

Zamieszanie z ewakuacją
Czy akcja ratunkowa przebiegła w Zielonej Górze sprawnie? Poli-

tycy PiS – wojewoda lubuski i szefowie resortu klimatu, którzy dotarli do Zielonej Góry, twierdzą, że tak. Tymczasem wyglądało to tak, że wojewoda Władysław Dajczak dementował ewakuację 2,5 tys. ludzi, którą wcześniej ogłosił prezydent Zielonej Góry Janusz Kubicki. Mieszkańcy byli zdezorientowani przez ponad godzinę.

Ministrowie klimatu Jacek Ozdoba i Anna Moskwa oraz wicekomendant straży pożarnej i szef WIOŚ od początku przekonywali, że wszystko jest pod kontrolą. Powietrze badane, woda sprawdzana. – W powietrzu krążą ropopochodne węglowodory, nie ma co kryć, substancje rakotwórcze – mówił Mirosław Ganecki, lubuski szef WIOŚ. I natychmiast dodawał, że to stężenia „nie-

zagrożające zdrowiu i życiu”, więc mieszkańcy mogą spać spokojnie.

Problem zakopano

Politycy PiS oraz prezydent Zielonej Góry jak ognia unikali pytań o historię tykającej bomby w Przylepie, brak utylizacji i ochronę środowiska w wydaniu PiS. Takich niebezpiecznych i nielegalnych składowisk jak pod Zieloną Górą jest w Polsce z górą 400 – wyliczali ostatnio dziennikarze TVN w reportażu „Wody czerwone” o nielegalnym składzie pod Częstochową.

Toksyczne odpady, które zapaliły się w hali w Zielonej Górze, składowała firma Awinion z Wielkopolski. Zgodę dostała ponad dekadę temu od starosty zielonogórskiego. Beczki z trucizną – m.in. z ksylenem czy metylobenzenem oraz „całą tablicą Mendelejewa” – zostawiła na wydzierzawionej ziemi i zniknęła. Miasto, które było odpowiedzialne za utylizację od 2015 r., niczego nie zrobiło. Mimo nakazów płynących z Naczelnego Sądu Administracyjnego i WIOŚ [państwową Inspekcją rządzą ludzie PiS]. Podobne bomby fir-

ma zostawiła pod Poznaniem i Kaliszem. Gdy w 2017 r. prezydent Zielonej Góry wnioskował o pieniądze na utylizację, wojewoda lubuski dwukrotnie odmawiał. Inna rzecz, że zielonogórzanie zarzucają prezydentowi wydawanie milionów na fajerwerki. Na przykład w mieście powstaje basen z aquaparkiem pod chmurką za prawie 100 mln zł. – Na „hurghadę” w Ochli są pieniądze, a na usunięcie trucizny nie ma – słyszymy w mieście.

Pożar w Przylepie stał się okazją do starcia liderów PiS i opozycji. „Smród płonących odpadów w Zielonej Górze. Smród setek bezkarnych nielegalnych składowisk. Smród pisowskiej korupcji w całej Polsce. Kaczyński i Sasin na pikniku” – napisał w niedzielę Donald Tusk.

Ripostował premier Mateusz Morawiecki: „Obrzydliwe. Kuglarz z PO – Partii Oszustów nawet pożar chce wykorzystywać do swego czarnego PR. Wykorzystają każde nieszczęście, żeby skłócić Polaków. Smród kłamstwa powrócił do Polski razem z Tuskiem”.

• Tykająca bomba wybuchła ► 4-5
• Toksyczny patent na biznes ► 5

Jarosław
Marczuk

Operacja specjalna Putina wobec Polski

Na białoruskie ziemie ściągnęli najemnicy z Grupy Wagnera. Oficjalnie dla części ma to być przystanek w drodze na misję w Afryce; inni zostaną, by ćwiczyć białoruską armię w wojennym rzemiośle. Ale już w niedzielę Łukaszenka podczas spotkania z Putinem przyznał, że wagnerowcy rwą się na zachód – do Warszawy i Rzeszowa.

Taki wypadek byłby manewr obronny. To wynika ze słów samego Putina, który podczas ostatniej narady ze stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa wygłosił tyradę o Polsce. W swoim stylu, pomijając różne niewygodne dla Rosji fakty, a inne zniekształcając, ostrzegł, że Warszawa szykuje się do inwazji. Nie jednej, lecz dwóch od razu: na zachodnią Ukrainę pod płaszczykiem litewsko-polsko-ukraińskiej brygady i na zachodnią Białoruś. Obrona Lwowa to problem Kijowa, zauważył Putin, ale Brześć, Grodno i Mińsk to co innego. Na atak odpowie z całą mocą, jaka mu tylko pozostaje.

Wykład Putina to czysta propaganda. Nie jest ona nawet nowa. Od początku inwazji Kreml ni to ostrzega, ni to zachęca polski rząd do udziału w rozbiórce Ukrainy. Ważniejszy od treści tego przekazu jest moment jego wygłoszenia.

Łukaszenka podczas spotkania z Putinem przyznał, że wagnerowcy rwą się na zachód – do Warszawy i Rzeszowa

Przeglądając się ostatnimi czasy polsko-ukraińskim relacjom, nietrudno uznać, że znalazły się w kryzysie. Nieprzedłużenie przez Rosję umowy zbożowej postawiło Ukrainę pod ścianą, teraz jest skazana na wywóz surowca drogą lądową. Naturalnym kierunkiem jest

Polska, ale nieumiejężna

polityka rządu PiS doprowadziła do zalanania polskiego rynku tańszym zbożem z Ukrainy. Tymczasem premier Morawiecki zapowiedział, że jeśli Komisja Europejska nie przedłuży zakazu importu surowca do Polski – obowiązuje do 15 września – to Warszawa zamknie granice. To wywołało wzburzenie w Ukrainie.

Takich punktów zapalnych ostatnio było więcej. Dopiero co, przy okazji 80. rocznicy, powróciła kwestia Wołynia, narracja o nim nadal dzieli obydwie narody. Jest też sprawa polsko-niemieckiego centrum remontowego leopardów, którego powstanie w Polsce rząd PiS w najlepszym razie spowolnił awanturami z Berlinem. Część polskiego społeczeństwa wydaje się też przejawiać zmęczenie uchodźcami z Ukrainy, co też starają się wykorzystywać niektórzy politycy ze skrajnej prawicy. Groźba ataku na Warszawę to zaś woda na młyn tych, którzy się boją, że Ukraina wciągnie nas w wojnę z Moskwą.

Pan Kremla doskonale wie o tych wszystkich problemach, żalach i lękach w relacjach między bliskimi sojusznikami, jakimi są Polska i Ukraina. Dlatego próbuje je podsycać. ●

Hiszpania

Głosowanie ma przynieść zmianę władzy



W Hiszpanii w niedzielę odbyły się wybory parlamentarne. Wszystkie sondaże dawały prawicy przewagę kilku punktów procentowych, co oznacza, że partia socjalistyczna premiera Pedro Sáncheza przestanie rządzić krajem. Na zdjęciu wyborcy podczas głosowania w komisji ulokowanej w jednej ze szkół w Badalonie na obrzeżach Barcelony.

Cytat dnia

*Mypo prostu się
lubimy. Mamy
o czym ze sobą
porozmawiać.
Często klienci bez
zapowiedzi wpadają
do salonu Astona
Martina na kawę
i przez godzinę lub
więcej rozmawiamy
o motoryzacji*



PIOTR CZERESZKO
sprzedawca z Auto Fus Group

Raport o luksusowych
autach ► I-III

Oksana Lyniv Dyrygentka na topie

Dyrygentka Oksana Lyniv swoją osobą i działalnością pokazuje prężność ukraińskiej kultury.

Niedawno słuchałam jej w Staatsoper Unter den Linden w Berlinie, gdy dyrygowała „Medeą” Luigi Cherubini. To opera, w której napięcie dramatyczne nie opada ani na moment, orkiestra ma do zagrania świetne rzeczy.

Lyniv to jedna z najciekawszych dyrygentek ostatnich lat. Od stycznia ubiegłego roku jest dyrektorką muzyczną Teatro Comunale di Bologna, pierwszą kobietą na tym stanowisku we włoskim teatrze operowym. Wcześniej kierowała operą w austriackim Grazu, wybrana na to stanowisko po serii przedstawień, które poprowadziła. Nic dziwnego, skoro doskonale panuje nad orkiestrą i tym, co dzieje się na scenie.

Dwa lata temu – jeszcze przed napaścią Rosji na Ukrainę – była też pierwszą dyrygentką w historii Festiwalu Wagnerowskiego w Bayreuth, która miała możliwość przygotować nową produkcję i przedstawić ją publiczności – był to „Latający Holender” w reż. Dmitrija Czerniakowa. Będzie dyrygowała tym spektaklem również w tym roku, od początku sierpnia.

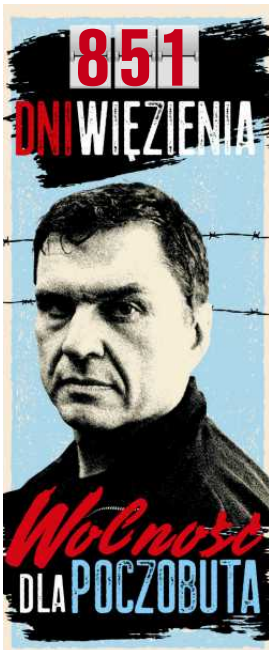


Oksana Lyniv urodziła się w Brodach pod Lwowem, jest córką i wnuczką dyrygentów chóralnych, uczyła się grać na wielu instrumentach, przed orkiestrą pierwszy raz stanęła w wieku 16 lat. Jej międzynarodowa kariera rozpoczęła się zdobyciem trzeciej nagrody na konkursie dyrygentkim im. Gustava Mahlera w Bambergu.

Niezależnie od świetnie rozwijającej się kariery na Zachodzie Oksana Lyniv wciąż jest w łączności z rodziną i ojczyzną. W wywiadach opowiadała, jak traumatycznym przeżyciem było dla niej bombardowanie okolic Lwowa. Angażuje się w pomoc ofiarom wojny, apelowała o pomoc w odbudowie Akademii Sztuk Pięknych w Charkowie. ●

Anna S. Dębowska

Andrzej rysuje



Z żalem zawiadamiamy, że w dniu 19 lipca 2023 roku odszedł

Krzysztof Olbromski

Msza święta odbędzie się w dniu 25 lipca 2023 roku o godzinie 12.00 w Kościele parafialnym pw. św. Jana Vianneya, po której o godzinie 13.00 nastąpi odprowadzenie na cmentarz przy ul. Lutyckiej.

O pogrzebie zawiadamiają pogrążeni w smutku

Iwona, Karolina, Piotr wraz z Rodziną

Żegnamy ukochanego Męża, Tatusia i Dziadka.

Tusk wciąga na sztandar aborcję

Aborcja i prawa kobiet będą jednym z haseł październikowego Marszu Miliona Serc. Lewica domaga się likwidacji przepisu, który pozwala ściągać za pomoc w zabiegu przerwania ciąży. Apeluje o wsparcie opozycji.

Iwona Szpala

Żadna z partii strony demokratycznej nie godzi się na utrzymanie obecnego status quo.

Donald Tusk ogłasza Marsz Miliona Serc

W październiku, na który Tusk zapowiada potężny protest, miną trzy lata pod rządami restrykcyjnego prawa aborcyjnego. Obowiązujący od 1993 r. kompromis obalił Trybunał Konstytucyjny, praktycznie znosząc legalną aborcję.

Gdy temat wraca, to zawsze w dramatycznych okolicznościach – kiedy media obiegają informacje o śmierci kolejnych kobiet, którym lekarze na czas odmówili aborcji. – Iza, Justyna, Ania, Agnieszka, Dorota – na czerwcowym posiedzeniu Sejmu posłanka lewicy Katarzyna Kotuła wymieniała kolejne imiona. – Wszystkie umarły, bo wprowadziliście do szpitali swoją ideologię i to wy ponosicie odpowiedzialność za te śmierci.

Działo się to po śmierci pacjentki oddziału ginekologicznego w Nowym Targu. Lekarze czekali, aż urodzi obumarły płód, wdała się sepsa. Kotuła prosiła o powstanie i minutę ciszy, nie przekonała posłów z ław PiS. Dostała odpowiedź. – Posłanka wymieniła kobiety, które są już świętej pamięci – mówił poseł PiS Piotr Kaleta i zapytał, ile czasu posłowie staliby w holdzie dla bezimiennych chłopców i dziewczynek zamordowanych przez własnych rodziców. Bo za każdym razem PiS próbuje osłabić opozycyjny przekaz.

Głos zabiera Jarosław Kaczyński. Mówi np.: „Niemalże na każdym rogu w Warszawie i w wielu różnych miejscach można załatwić [aborcję] i nikt tego nie zwalcza”. Albo: „[Sa] ogłoszenia w prasie, które każdy średnio rozgarnięty człowiek rozumie i może sobie taką aborcję za granicą załatwić taniej lub drożej”.

Po ostatniej tragedii z Nowego Targu Kaczyński opowiadał, że to propaganda Platformy i lewicy. Partie próbują rozgrywać politycznie temat, w którym nie ma żadnej winy PiS. Bo przecież nie istnieje zakaz aborcji, gdy zagrożone jest zdrowie i życie kobiety. – Takiej sprawy nie ma, ona jest wymyślona przez propagandę, to jest część tej urojonej rzeczywistości – bronił PiS.

W kuluarach partii rządzącej już nie ma takiej pewności. Politycy PiS przyznają, że sprawa aborcji jest problemem kampanii wyborczej.

Już rok temu sondaże pokazywały, że Polacy chcą liberalizacji prawa aborcyjnego. Akceptują propozycję PO i lewicy, by wprowadzić prawo do przerwania ciąży do 12. tygodnia.

– I to się raczej nie zmieniło – komentuje polityk Koalicji Obywatelskiej. – W PiS są źli, bo przy takich nastrojach większości wyborców wymyślili, by w kampanii temat aborcji uspokajać i wyciszać. Ale nie kontrolują wydarzeń.



• **Protest „Ani jednej więcej” po śmierci ciężarnej Doroty. Warszawa, 14 czerwca 2023 r.**

FOT. MACIEK JĄZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Właśnie dopada ich rzeczywistość, którą zgotowali kobietom nieludzkim prawem. To pierwsza po 1989 r. ekipa, która tak brutalnie wkroczyła w prywatne życie Polaków. I trzeba zrobić wszystko, by poniosła za to konsekwencje – dodaje nasz rozmówca.

Tusk: „Seryjni mordercy kobiet”

Na czerwcowym wiecu w Poznaniu Tusk nazwał rządzących seryjnymi mordercami kobiet. – To na pańską głowę, panie Kaczyński, spadają te śmierci, ta żaloba – oskarżał. – Zastanówcie się, czy na pewno chcecie, by kobieta szła do więzienia razem z lekarzem. Jeśli tak, to powiedzcie to kobietom w swoich domach. Jeśli masz żonę, córkę, wnuczkę, to nie możesz głosować na tę opresyjną dyktaturę. Nie możemy pozwolić, by dłużej rządili, bo to będzie nas kosztowało kolejne ofiary.

Gdy w czwartek Tusk ogłaszał Marsz Miliona Serc, opowiadał o historii Joanny z Krakowa i skandalu, do którego doprowadziła antyaborcyjna polityka rządzących. Kobieta zażyła tabletkę poronną, lekarka, z którą rozmawiała, zaniepokojona stanem psychicznym pacjent-

ki, zadzwoniła na policję. Już w szpitalu Joanna, otoczona policyjnym kordonem, miała na polecenie funkcjonariuszy kucać i kaszleć. Wcześniej policjanci zabrali jej telefon i laptop.

– Ten obraz to coś więcej niż kolejny dramat Polki w kraju rządzonym przez PiS – mówił Tusk, przekonując, że to opresyjność państwa, które wkracza w miejsce, w którym powinny być jedynie pacjentka, lekarz, rodzina. Policja nie ma sobie nic do zarzucenia. Twierdzi, że wszystko to robiła dla dobra pani Joanny.

Opozycja: obecne prawo nie do przyjęcia

W sprawie aborcji wszystkie partie opozycyjne deklarują, że obecne prawo jest nie do przyjęcia. Po powrocie Donalda Tuska Platforma potwierdziła swoje wcześniejsze deklaracje: zabieg usunięcia ciąży jest decyzją kobiety. Datą graniczną jest 12. tydzień. Lider PO oświadczył, że na partyjnych listach nie będzie kandydatów, którzy są przeciwni takim regułom. „Aborcja decyzją kobiety, a nie księdza, prokuratora, policjanta czy działacza partyjnego. I zapisaliśmy to jako konkretny projekt, będziemy gotowi zaproponować to Sejmowi pierwszego dnia po najbliższych wyborach do parlamentu – ogłosił w sierpniu 2022 r. podczas jednej z debat Campusu Polska. Jego współpracownicy przekonywali, że Tusk nie powiedział niczego, co nie byłoby wiadome wcześniej.

Liberalizacji chce również lewica, dla której temat aborcji jest od dawna jednym z programowych sztandarów. Podobnie jak zniesienie klauzuli sumienia, bezpłatna antykoncepcja czy pigułka „dzień po” bez recepty. Lewica ostro promuje projekt ustawy, która likwiduje odpowiedzialność karną za pomoc w zabiegu przerwania ciąży.

– Cieszę się, że PO w końcu uwierzyła w to, że kobieta wie najlepiej, co zrobić ze swoim ciałem. Lewica wie to od zawsze, co więcej – złożyła w tej sprawie konkretny projekt ustawy. Bo na końcu nie słowa, ale czynny decydują o tym, czy

kobiety żyją w wolności, czy w piekle – tak mówił Robert Biedroń, współprzewodniczący Nowej Lewicy, po deklaracji Tuska. – Będziemy pilnować, by tym razem nikt z naszych partnerów nie zadrzasnął się w toalecie przy tak kluczowym głosowaniu.

W czerwcu 2022 r. Sejm odrzucił popierany przez lewicę obywatelski projekt legalizujący aborcję do 12. tygodnia. Większość posłów PSL głosowała wówczas podobnie jak PiS. Byli przeciw.

Ludowcy związani koalicją wyborczą z Polską 2050 jako Trzecia Droga chcą nie liberalizacji, ale referendum. Wcześniej – powrotu kompromisu aborcyjnego z 1993 r. Taki koncept Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia wpisali do wspólnej deklaracji programowej. Dla lidera PSL temat aborcji był jedną z przeszkód powstania wspólnej listy. – Nie da się zbudować jednej listy, nie mając wspólnych poglądów w sprawach światopoglądowych, a przynajmniej zbliżonych, a tutaj te poglądy się rozjeżdżają, a nie zbliżają – mówił w rozmowie z PAP. Dziś razem z Szymonem Hołownią przekonują, że referendum to przywrócenie głosu Polakom, na czym Trzeciej Drodze bardzo zależy.

W rozmowie z PAP Kosiniak-Kamysz opowiadał, jak widzi aborcyjne referendum. – Z trzema pytaniami dla każdej opcji politycznej. Dla PiS i Konfederacji to jest zaostrzenie tych przepisów aborcyjnych, dla lewicy i PO to jest ten wybór do 12. tygodnia bez żadnych uwarunkowań, niezależnie od wskazań medycznych, a dla centrum, czyli PSL i Hołowni, to jest powrót do trzech przesłanek, do kompromisu, który został przez Trybunał Konstytucyjny wyrzucony i zmniejszył poczucie bezpieczeństwa Polek. Dziś Władysław Kosiniak-Kamysz powtarza, że to jedyna realna możliwość przy spodziewanym układzie sił politycznych. Podobnie argumentowali u Hołowni, przypominali, że PiS będzie miał prezydenta, który mu sprzyja, i Trybunał Konstytucyjny. Więc przy wygranej opozycji szanse na szybką liberalizację nie są duże. ●



To na pańską głowę, panie Kaczyński, spadają te śmierci, ta żaloba. Zastanówcie się, czy na pewno chcecie, by kobieta szła do więzienia razem z lekarzem. Jeśli tak, to powiedzcie to kobietom w swoich domach. Jeśli masz żonę, córkę, wnuczkę, to nie możesz głosować na tę opresyjną dyktaturę

DONALD TUSK

Pożar odpadów w Zielonej Górze

Maja Sałwacka, Artur Łukasiewicz

Obrazy z ogromnymi kłębamii czarnego dymu i słupami ognia jak z filmów katastroficznych mieszkańcy zobaczyli w sobotę przed godz. 16. – W powietrzu było czuć smród spalenizny, ale innej niż z pieca. Śmierdziało słodkawo, dusząco – opowiada mieszkaniec Przylepu (do 2015 wieś, dziś część Zielonej Góry).

Pociąg do Poznania ujechał 4 km i stanął na stacyjce w Przylepie. Skład cofnięto na zielonogórski dworzec. – Ludzie się autentycznie bali. Zostać w środku, uciekać? – opowiada jeden z pasażerów. Ruch na trasie zablokowany był jeszcze do niedzieli po południu. Nie jeździły pociągi do Poznania, Szczecina i Berlina. Kolejarze zamawiali na gwałt autobusy.

Kilkaset metrów dalej paliła się hala z odpadami toksycznymi. W beczkach było ok. 5 tys. ton niebezpiecznych substancji. Nagle zaczęły eksplodować. Mieszkańcy na komórki zaczęli dostawać alerty z RCB: „Przylep, palą się substancje niebezpieczne. Zachowaj ostrożność, nie zbliżaj się do miejsca pożaru. Jeśli możesz, zamknij okna, zostań w domu”. Komunikaty o uszczelnianiu okien publikował prezydent 140-tys. Zielonej Góry.

Do Przylepu nadciągały zastępy strażaków. Wieczorem było ich ponad 60. Nad halę przyleciały samoloty gaśnicze z wodą. Warunki były skrajnie trudne. – Płonące substancje nie są zidentyfikowane – opowiadali. Gasili całą noc. Rano w niedzielę komendanci zameldowali, że do końca dnia będzie po wszystkim.

Ewakuacja i brak zagrożenia

Sobota, godz. 19.08. Prezydent Zielonej Góry Janusz Kubicki ogłasza na oficjalnym profilu urzędu miasta ewakuację 2,5 tys. mieszkańców. Podstawiane są przegubowce MZK.

– Było trochę paniki, poszła wieść, że wywiozą. Sporo ludzi samemu się ewakuowało, ale większość została. Widzieliśmy, jak wiatr znosi dym nie na Przylep, ale na północ, na Chynów i Odrę – opowiada jedna z mieszkank.

Mieszkańcy nie chcą się ewakuować. W sieci pod postem Kubickiego wylewają żale. Bo o toksycznej hali w Przylepie wiedział od lat. Nic nie zrobił. Zamiast inwestycji w ochronę środowiska wołał budować kompleks otwartych basenów na Ochli ze zjeżdżalnicami za 100 mln zł czy rozbudować minizoo i sprowadzać lemury. Do tego parking w centrum miasta za 35 mln. – A na Przylep nie było.

Godzinę później wojewoda lubuski Władysław Dajczak dementuje ewakuację. – Nie było takiej decyzji. Nie ma potrzeby, bo wyniki badania powietrza mówią, że nie ma zagrożenia. W powietrzu krążą węglowodory ropopochodne, ale nie w stężeniu zagrażającym życiu i zdrowiu – mówi po naradach wojewódzkiego sztabu zarządzania kryzysowego.

O „węglowodorach aromatycznych” więcej opowiada Mirosław Ganecki, szef WIOŚ w Zielonej Górze. – To związki chemiczne zasadniczo niebezpieczne. Pod wpływem temperatury mogą się uwolnić do powietrza. Nie można jednak ukrywać, to związki rakotwórcze.

Ganecki uspokaja jednak, bo „nie ma powodu do niepokoju”. – Spalanie jest niekontrolowane, ale w powietrzu węglowodory są rozrzedzane. Na bieżąco wykonujemy pomiary, badamy stężenie, korelujemy z kierunkiem wiatru – tłumaczy.

Uspokajają też wojewoda lubuski i komendanci straży pożarnej. Do Zielonej Góry dotarł Arkadiusz Przybyła, zastępca komendanta głównego PSP. W nocy minister klimatu Anna Moskwa. W niedzielę dołączył minister Jacek Ozdoba.

Uspokajające słowa popłynęły z telewizorów. – Nie ma ryzyka dalszego roz-

Dziwnie wygląda strażak, który uspokaja ludzi, a za jego plecami żywym ogniem płoną i wybuchają beczki z trucizną – opowiada mieszkaniec zielonogórskiego Przylepu.

Tykająca bomba z trucizną wybuchł

przestrzenienia się pożaru. Żadne z ujęć wody nie jest zanieczyszczone. Dotychczasowe pomiary jakości powietrza nie wskazują przekroczeń – ogłasza Moskwa.

– Dziwnie wygląda jednak strażak w telewizji, który uspokaja, a za plecami wybuchają mu trujące beczki i płoną żywym ogniem – mówi pan Piotr z Przylepu.

– Zażądam okazania badań. Rok temu wojewoda i politycy PiS zapewniali, że Odra nie jest zatruta i można się w niej kąpać. Nie można im wierzyć. Prezydent miał nakaz utylizacji i nic nie zrobił. Teraz z wojewodą PiS pudrują kłęby dymu – ocenia lubuska marszałek Elżbieta Polak.

Sąd każe, prezydent nie utylizuje

Toksyczne odpady w hali w Przylepie [to teren dawnych zakładów mięsnych wybudowanych w epoce Gierka] zalegają od dekady. Zgodę na składowanie wydał w 2012 roku starosta zielonogórski. – Jest zadziwiająca – sugeruje dziś winnych Dajczak.

– To był kolega marszałek Polak – dorzuca minister Ozdoba. Uwaga, w tamtych czasach w powiecie zielonogórskim rządziła koalicja PO-PiS.

Na wydzierżawiony prywatny teren odpady zwoziła spółka Awinion z Budzyna w Wielkopolsce. Wrzuciła i zniknęła. Składowisko miasto przejęło w 2015 roku, gdy połączyło się z wiejską gminą. Finałnie o tym, że to miasto ma posprzątać teren i utylizować odpady, musiał rozstrzygać Naczelny Sąd Administracyjny. Wyrok zapadł w marcu 2020 roku. NSA jednoznacznie wskazał, że to prezy-

• „Przylep, palą się substancje niebezpieczne. Zachowaj ostrożność, nie zbliżaj się do miejsca pożaru. Jeśli możesz, zamknij okna, zostań w domu” – takie SMS-y otrzymywali mieszkańcy

FOT. WŁADYSŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

dent miasta Zielona Góra „jest właściwy w tej sprawie”.

„Z akt sprawy wynika, że ze względu na zagrożenie dla życia i zdrowia ludzi oraz środowiska konieczne jest niezwłoczne usunięcie odpadów z terenu hali magazynowej” – uzasadniał sąd pilną potrzebę działania. Tego samego domagał się od prezydenta zielonogórski WIOŚ.

Prezydent Kubicki i jego służby nie wykonali zaleceń sądu i inspektoratu ochrony środowiska. Tłumaczyli się brakiem pieniędzy. Bo – tłumaczono – ceny utylizacji poszybowały tak w górę, że z 10 mln zł zrobiło się 30-40 mln zł. Miasto nie rozstrzygnęło pięciu przetargów [antyprezydencka opozycja twierdzi, że to pozorowane ruchy], uznając oferty za zbyt drogie.

Gdy w niedzielę pytaliśmy prezydenta Kubickiego, dlaczego nie utylizował odpadów, uciekł sprzed mikrofonu. – Teraz nie czas na takie wyjaśnienia – rzucił.

N-winył, ołów, toluen

Składowisko odpadów niebezpiecznych w Przylepie można, według inspektorów ochrony środowiska, zakwalifikować do kategorii dużych i niebezpiecznych. Według inspektorów WIOŚ normy rakotwórczych substancji, które unosiły się wokół składowiska, zanim ono zaczęło płonąć, były przekroczone nawet 20-krotnie.

Sprawę kilka lat temu badali zielonogórscy prokuratorzy. Zlecili biegłym ekspertyzy. Nie udało się sprawdzić całej zawartości hal, bo przekładanie beczek z chemikaliami – by dostać się do wnętrza magazynów – było zbyt ryzykowne dla biegłych wykonujących opinię.

– Sprawdzenie zawartości tych, do których był łatwy dostęp, dało podstawy, by wniesć niezwłocznie wniosek do sądu, aby miasto zutylizowało składowisko, bo badania wykazały, że substancje zagrażają mieszkańcom. Są toksyczne, do tego łatwopalne – wymienia prokurator Ewa Antonowicz, rzecznik Pro-

kuratury Okręgowej w Zielonej Górze. – Ekspertyzę przedłożyliśmy w sądzie, ale otrzymały ją także miasto i WIOŚ – dodaje prokurator.

Jakie substancje w magazynach ustalił biegły? W raporcie, do którego dotarła „Wyborcza”, jest kilkanaście groźnych dla życia ludzi i zwierząt związków. Wiele z nich ma status trucizny lub substancji, które w dużej dawce powodują śmierć. Na liście są też te, które powodują: bóle głowy, drgawki, działanie narkotyczne, nudności, podrażnienie błon śluzowych czy skóry, utratę przytomności, wymioty, zawroty głowy. Są też substancje powodujące uszkodzenie narządu krwiotwórczego czy uszkodzenie serca. Na szczycie listy jest N-winył karbozolu, związek stosowany np. w fotoreceptorach kserokopierek. Biegły ostrzega: „Może powodować reakcję alergiczną skóry, podejrzewa się, że powoduje wady genetyczne, połknięcie grozi śmiercią, działa bardzo toksycznie na organizmy wodne, powodując długotrwałe skutki”. Znajdujemy na liście p-ksylen, silną truciznę. Kolejna to metylobenzen. Przy zatruciach w wyższych stężeniach występują niezdolność ruchów, mdłości i drgawki. Bardzo duże dawki powodują ostrą niewydolność komorową.

Lista jest długa. Eksperci znaleźli w beczkach z Przylepu m.in.: alkohol benzyłowy, styren, aceton, glikol etylo-owy, akrylamid, rakotwórczy etylobenzen, toluen (węglowodór), chlorek poliglinu, acetonitryl i zestaw pierwiastków, np.: cynk, ołów, miedź, chrom, nikiel i kadm.

W beczkach znajdowały się prawdopodobnie farby drukarskie, ciecze łatwopalne, rozpuszczalniki oraz węglowodory ciekłe.

Dariusz Legutowski, radny zielonogórskiej PO, w ratuszu składał kilkanaście interpelacji w sprawie składowiska. Podobnie Ruch Miejski. Byli zbywani. – Ponaglaliśmy prezydenta, ostrzegaliśmy, ale nas nie słuchał – mówi Legutowski.

Prezydent Kubicki i jego służby nie wykonali zaleceń sądu i inspektoratu ochrony środowiska. Tłumaczyli się brakiem pieniędzy

Pożar odpadów w Zielonej Górze



Jak wojewoda z PiS nie pomógł

Koniec maja 2018 roku. Zielonogórska rada miasta kolejny raz debatuje nad składowiskiem w Przylepie. Radni rozpatrują skargę mieszkańca na zaniechania prezydenta. Bo nie chce usunąć odpadów, szwankuje nadzór. Nie ściga firmy, która przywoziła beczki z trującymi odpadami. Skarga zostaje odrzucona, ale ciekawe jest uzasadnienie urzędników prezydenta, dlaczego miasto nie utylizuje tykającej bomby.

Otóż prezydent Kubicki liczył na wsparcie PiS w usunięciu niebezpiecznych odpadów. Z lubuskimi politykami Kaczyńskiego jest w dobrych układach, razem atakują PO. W sierpniu 2017 roku Kubicki pisze do premiera, ministra ochrony środowiska i wojewody lubuskiego oficjalne listy o pomoc i dotacje na usunięcie trucizny z Przylepu. Pozytywnie reaguje minister bez teki Beata Kempa (dziś europosłanka PiS). Do wojewody wysyła sygnał o „rozważenie pomocy” i sięgnięcie po pieniądze z rządowej rezerwy ogólnej. Wojewoda Władysław Dajczak podrzuca też prezydentowi radę, by pożyczyl pieniądze z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Sprawa jest otwarta.

Kubicki śle więc do wojewody wniosek o uruchomienie pieniędzy z rezerwy. W lutym 2018 r. Dajczak odrzuca wniosek. Kubicki ponawia. W kwietniu wojewoda z PiS ponownie mówi nie.

O jakie pieniądze chodzi? O koszty utylizacji 6 tys. ton trujących substancji miejscie biuro ochrony środowiska pyta kilka firm. Odbiór, transport i usunięcie jedna z firm wycenia na 15-16 mln zł, czyli ok. 4,5 tys. zł za tonę. To najdroższa oferta. Następne mówią o 10-12 mln zł. Zastrzegają, że przy unieszkodliwieniu odpadów większe koszty spowodują nieprzewidziane okoliczności, np. konieczność przepakowania odpadów.

W sobotę 22 lipca sprawę rozstrzygnął ogień.

Niedziela, godz. 14. RCB rozsyła SMS-y. Sytuacja opanowana, trwa dogaszanie pożaru. ●

Tak działała firma odpowiedzialna za skład w Przylepie

Toksyczny patent na biznes

Niebezpieczne odpady, które zapaliły się w hali w Zielonej Górze, składowała firma Awinion z Budzynia.

Marta Danielewicz

Budzyń to 5-tysięczne miasto w powiecie chodzieskim na północy Wielkopolski. Jeszcze kilka lat temu siedziba firmy Awinion znajdowała się w podwórku przy ul. Rynkowej w centrum miasta, w rozwalającej się hali. To związani z tą firmą ludzie zalali polskie miasta groźnymi odpadami, zarabając na tym gigantyczne pieniądze.

Firma z Budzynia jeździła od powiatu do powiatu, otrzymując zezwolenia na składowanie odpadów. Po kilku latach już nawet nie występowała o zezwolenia. Pod osłoną nocy członkowie mafii śmieciowej zwozili beczki i mauzery, a potem znikali. Część substancji wylewali do rowów. Mieszali odpady toksyczne i ropopochodne. Właściciele terenów, które wynajmowali, zastraszały. Na początku czerwca 2019 roku członków zorganizowanej grupy przestępczej zatrzymali policjanci z Poznania.

Odpady na lotnisku

Założyciele Awinionu czerpali wzorce z innej budzyńskiej firmy, Jędrus (po zmianie nazwy Jendrus), która też zasłynęła nielegalnym podrzucaniem i składowaniem szkodliwych odpadów.

W 2015 roku dotarłam do założyciela firmy Jędrus Andrzeja N., który opowiedział mi o kulisach działalności obu spółek.

Firmę Jędrus założył wraz z synem Mateuszem w 2007 roku. Ojciec i syn uzyskali od starosty chodzieskiego zezwolenie na zbieranie i transport odpadów. Szybko nawiązali współpracę z poznańską spółką Wuko-Waste, która też zajmowała się składowaniem i utylizacją odpadów. Kierował nią poznaniak Marian Maćkowiak. Tyle że Maćkowiak odpadów nie utylizował.

W dzierżawionych od Agencji Mienia Wojskowego hangarach na terenie byłego lotniska wojskowego w Pile pozostawił około 2 tys. ton szkodliwych i niebezpiecznych substancji.

Takie same substancje Wuko-Waste zostawiło w Kleszczewie pod Poznaniem. Okazało się, że pochodziły właśnie od firmy Jędrus. Marian Maćkowiak dostał za to wyrok.

Bezdomny właścicielem

Jędrus się rozkręcał. Wynajmował magazyny i szopy na terenach dwóch województw: wielkopolskiego i kujawsko-pomorskiego. Firma przywoziła odpady i znikala.

Gdy właściciele terenów zaczęli się domagać usunięcia szkodliwych substancji, firma zmieniała władze, a telefonu nikt nie odbierał.

Do biznesu dołączyli poznańscy Jakub P. i Bartosz B. Firma zmieniła nazwę na Jendrus, by w ten sposób „brzmieć bardziej międzynarodowo”.

Następne lata to składowanie odpadów w kolejnych miejscach. Właściciele magazynów zaczynają podejrzewać, że to nielegalny biznes. Wypowiadają umowy najmu, domagają się zabrania toksycznych substancji. Do akcji wkraczają też policjanci i prokuratorzy.

Wtedy władze spółki się zmieniają. Założyciel Andrzej N. opowiada, że biznes (w tym samochód, magazyn i kontakty) sprzedał za tysiąc złotych Bartoszowi B. To nowy właściciel miał stworzyć pomysł, jak jeszcze bardziej dorobić się na odpadach.

Firma oferuje konkurencyjne ceny za wywóz i utylizację odpadów, to jedna czwarta rynkowych stawek. Klientów nie brakuje. Jendrus zwozi odpady z Polski i zagranicy do magazynów, a potem porzuca. Oszczędza w ten sposób, bo nic nie utylizuje.

Ostatnim właścicielem Jendrusa (zgodnie z Krajowym Rejestrem Sądowym) jest Paweł P. Gdy śledczy go odnajdują, okazuje się bezdomnym, który nawet nie wiedział, że posiada udziały w jakiejś firmie. Znał jednak dwie osoby z Jendrusa, z którymi pracował dawniej w warsztacie samochodowym.

Z relacji Andrzeja N. wynikało, że w tym czasie osoby zaangażowane w Jendrusa przetrwały majątek i całe know-how do nowej spółki Awinion. Prezesem Awinionu został Przemysław B., ojciec Bartosza B. W zarządzie byli też inni członkowie rodziny.

Ostatnim prezesem spółki, zgodnie z KRS, jest Bogdan D. Spółka nie ogłosiła upadłości.

Magazyn za tysiąc złotych, odpady za kilka milionów

Awinion działał beczelniej niż Jędrus i Jendrus. Firma wynajęła magazyny w Przylepie koło Zielonej Góry, a także w Poznaniu, gdzie początkowo miała zwozić jedynie kostkę brukową. Nie miała bowiem zezwoleń na składowanie odpadów niebezpiecznych.

W imieniu ludzi z Awinionu poznańska firma Darknes wynajęła też magazyny w centrum Kalisza. Awinion zwiózł tam 3 tys. ton odpadów.

Awinion podrzucał toksyczne substancje także do mniejszych miejscowości. Na przełomie 2014 i 2015 roku w Adamowie koło Wolsztyna odnaleziono 1,4 tys. beczek (o pojemności 200 litrów) z rakotwórczymi substancjami.

W Parkowie w powiecie obornickim odkryto 19 ton substancji niewiadomego pochodzenia, które prawdopodobnie rozszczelnili się przy rozładunku. Inspektorzy ochrony środowiska znaleźli ślady groźnych substancji także w wodzie.

Groźnie było też w Mielżynie w powiecie gnieźnieńskim. Odkryto tam 26 tys. litrów tolu-

enu – rakotwórczej substancji toksycznej dla środowiska oraz człowieka.

Śledczy dotarli także do miejscowości Łosiniec (gmina Skoki). Jedna z mieszkańek za tysiąc złotych wynajęła na miesiąc magazyn. Najemca zwiózł tam odpady i zniknął. Kobieta została z niebezpiecznymi substancjami.

W Janikowie pod Poznaniem, w gminie Swarzędz, Awinion porzucił na pustej działce kilkanaście mauzerów pełnych chemii.

Z większości tych miejsc, m.in. Poznania i Kalisza, odpady już zniknęły. Za ich utylizację zapłacili głównie podatnicy. Poznań przeznaczył ponad 4 mln zł z budżetu na usunięcie 2,5 tys. ton niebezpiecznych odpadów.

Mafia śmieciowa

Śledztwa w sprawie nielegalnego składowania odpadów niebezpiecznych przez firmy Ję-

drus i Jendrus na terenie woj. kujawsko-pomorskiego prowadzono m.in. we Włocławku. W grudniu 2018 roku sąd skazał pięć osób na kary od dwóch miesięcy do czterech lat więzienia. Część oskarżonych sąd uznał za członków zorganizowanej grupy przestępczej.

Z opinii biegłego, który badał magazyny w woj. kujawsko-pomorskim, wynika, że składowano tam dosłownie wszystko. Wśród związków chemicznych były m.in. stanowiące zagrożenie dla środowiska i życia opary benzenu, ksyleny, a także toluen. Część beczek była rozszczelniona, niektóre odpady można było składować jedynie przez 72 godziny, potem powinny być zutylizowane.

Śladami mafii śmieciowej od 2015 roku podążała też Prokuratura Okręgowa w Poznaniu. W 2019 roku poznańscy policjanci zatrzymali 13 osób związanych z firmą Awinion. Niektóre nazwiska się powtarzają – to osoby wcześniej skazane.

Prokuratura znów zarzuciła im działanie w zorganizowanej grupie przestępczej, a także popełnianie przestępstw przeciwko środowisku i spowodzenia niebezpieczeństwa katastrofy ekologicznej. Prokuratura nie informowała o finale tego śledztwa. ●

Maćku, Tobie i Twoim bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i słowa otuchy z powodu śmierci

Mamy

składają

*Szymon Hołownia, koleżanki i koledzy
z Zarządu partii Polska 2050 Szymona Hołowni
oraz członkowie i wolontariusze Ruchu Polska 2050.*

Naczelna Rada Adwokacka
z głębokim żalem przyjęła wiadomość o śmierci

SP

**Adw.
Jerzego Zięby**

Dziekana Okręgowej Rady Adwokackiej w Kielcach,
uhonorowanego odznaką „Adwokatura Zasłużonym”.
Żegnamy Przyjaciela i Kolegę
oddanego samorządowi adwokackiemu,
Człowieka niezwykle ciepłego i życzliwego.

Rodzinie i Najbliższym

składamy
wyrazy najgłębszego współczucia.

*Adw. Przemysław Rosati
Prezes Naczelnej Rady Adwokackiej
Adw. Ewa Krasowska, Rzecznik Dyscyplinarny Adwokatury
Adw. Jacek Ziobrowski, prezes Wyższego Sądu Dyscyplinarnego
Adw. Sławomir Ciemny, przewodniczący Wyższej Komisji Rewizyjnej
wraz z Przyjaciółmi z NRA*

Projekt ustawy przeciw „seksualizacji dzieci” już w Sejmie



Do Sejmu trafiło 250 tys. podpisów poparcia pod obywatelskim projektem ustawy w ramach inicjatywy „Chronmy dzieci”. To pomysł PiS na walkę z „seksualizacją” w szkołach. – Jest potrzeba postawienia tamy, żebyśmy tej zgnilizny, demoralizacji nie obserwowali w polskich szkołach – wyjaśnił minister edukacji Przemysław Czarnek.

Anita Karwowska

Marszałek Sejmu Elżbieta Witek już zapowiedziała, że postara się jak najszybciej poddać projekt pod obrady Sejmu. Jak mówi: „jest niezmiernie ważny.”

Zbiórka ćwierć miliona podpisów pod projektem, który od wiosny promowany był pod hasłem „Chronmy dzieci, wspieramy rodziców”, od początku miała silne wsparcie Prawa i Sprawiedliwości, łącznie z prezesem partii. Jarosław Kaczyński tłumaczył, że w projekcie chodzi o zatrzymanie „seksualizacji dzieci”. – By dzieci nie były poddawane praktykom, które są dla nich szkodliwe i mogą prowadzić do daleko idących zmian psychicznych, różnego rodzaju trudności, gdy będą już starsze – tłumaczył podczas oświadczenia dla mediów na początku maja.

W konferencji inicjatorów ustawy, którzy przynieśli w tym tygodniu do Sejmu 250 tys. podpisów pod projektem, brała udział Elżbieta Witek. Rozwinęła temat niebezpieczeństw, przed którymi miałaby chronić proponowana ustawa. – To są zagrożenia, których nie było jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu. Rodzice często mówili, że z opóźnieniem dowiadują się o tych zagrożeniach, że

gdyby wiedzieli wcześniej, z pewnością mogliby na czas zareagować – mówiła.

Co zmieni ustawa zwalczająca „seksualizację dzieci”?

Projekt zawiera zmiany do ustawy Prawo oświatowe. „Proponowane w projekcie ustawy rozwiązania, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom społecznym, mają na celu wzmocnienie pozycji i głosu rodziców oraz ich przedstawicieli w społecznym organie szkoły (radzie rodziców) w zakresie skutecznego sprzeciwiania się niepożądanym treściom kierowanym do ich dzieci” – można przeczytać w omówieniu dokumentu.

Wśród proponowanych zmian nie ma przepisów związanych z ograniczeniem dzieciom dostępu do pornografii, wulgarnych treści czy przemocy. Kluczowa zmiana dotyczy rozwinięcia art. 86 prawa oświatowego. Dziś mówi ono, że w szkołach mogą działać stowarzyszenia i organizacje, których celem statutowym jest działalność wychowawcza albo rozszerzanie i wzbogacanie form działalności dydaktycznej, wychowawczej, opiekuńczej i innowacyjnej szkoły lub placówki – z wyjątkiem partii i organizacji politycznych. Podjęcie takiej działalności wymaga uzyskania zgody

dyrektora szkoły lub placówki i pozytywnej opinii rady szkoły i rady rodziców.

Autorzy projektu chcą, by oprócz partii zakaz wejścia do szkół podstawowych i przedszkoli miały też stowarzyszenia i inne organizacje „promujące zagadnienia związane z seksualizacją dzieci”.

Pozostałe organizacje, które chciałyby zorganizować w szkole warsztaty czy inną formę dodatkowych zajęć dofinansowanych, musiałyby przejść wieloetapową ścieżkę przeświecania ich działalności (dyrektor będzie zobligowany do uzyskania szczegółowych informacji o ich planowanej aktywności, monitorować je miałyby także rady rodziców). Konieczna będzie pozytywna opinia rady szkoły i rady rodziców. A na końcu wymagana będzie pisemna zgoda rodziców niepełnoletniego ucznia na udział w zajęciach.

W omówieniu projektu znalazło się też zdanie, że wskazane byłoby, aby zajęcia z edukacji seksualnej prowadziła wyłącznie kadra nauczycielska, bez udziału organizacji z zewnątrz. Na razie nie wiadomo jednak, jacy mieliby to być pedagodzy.

• **Prezes Jarosław Kaczyński i marszałek Sejmu Elżbieta Witek wygłaszają oświadczenie pod hasłem „Chronmy dzieci, wspieramy rodziców”. Warszawa, 4 maja 2023 r.**

FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Zakaz ma dotyczyć promocji seksu, w tym niemoralnego, demoralizacji i deprawacji na punkcie seksualnym

PRZEMYSŁAW CZARNEK
w TV Republika

Kiedy zaczęła się zbiórka podpisów pod projektem, „Wyborcza” zebrała komentarze w tej sprawie. Głos zabrał m.in. Bart Staszewski, aktywista LGBT+, prezes fundacji Basta. – Ta ustawa to prawna wydmuszka, której celem nie są nowe przepisy, ale kolejna odsłona walki światopoglądowej. To sprawnie przygotowana akcja polityczna skrojona pod kampanię wyborczą. (...) Dziś trudno mi ocenić, czy taka kampania nienawiści znów może być skuteczna. Podczas ataków na nasze środowisko w 2019 i 2020 r. zyskałimy wielu sojuszników. (...) Z drugiej strony zdaję sobie jednak sprawę, jak potężną machiną propagandową w postaci TVP dysponuje ta władza i jak ciężko odpyrać te ataki – powiedział nam aktywista.

Czym jest „seksualizacja”?

Jak należy rozumieć hasło „seksualizacji”, precyzyjnie wyjaśnił kilka dni temu minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek. – Zakaz ma dotyczyć seksualizacji – promocji seksu, w tym niemoralnego, demoralizacji i deprawacji na punkcie seksualnym. To jest podawanie informacji, które są promocją seksu, również tego, nazwijmy go, niemoralnego całkowicie, i to jeszcze w najmłodszych latach rozwoju dzieci, w przedszkolach czy w pierwszych latach szkół podstawowych. To jest seksualizacja, czyli demoralizacja na punkcie seksu, życia seksualnego człowieka – powiedział w TV Republika.

Psychologowie pojęcie tłumaczą inaczej. W ich ujęciu seksualizacja to proces, w wyniku którego wartościowanie drugiej osoby oraz siebie samego dokonywane jest przez pryzmat atrakcyjności seksualnej. Taką definicję podaje m.in. Aleksandra Żyłkowska, psycholożka z Uniwersytetu SWPS i edukatorka seksualna. Zatem seksualizacją będzie np. pokazywanie rozebranych kobiet czy mężczyzn w reklamie i przedstawianie ich jako obiekty seksualne. Ale też przywiązywanie szczególnej uwagi do wyglądu, np. córki przez matkę, i budowanie jej poczucia wartości w tym głównie kontekście.

Przemysław Czarnek: jest potrzeba postawienia tamy

Aktywiści związani z edukacją uważają, że ustawa to kolejny sposób na zrealizowanie pomysłów przyświecających zawetowanym dwukrotnie przez prezydenta ustawom zwanym „lex Czarnek”. Chodziło w nich m.in. o większą kontrolę państwa nad szkołami.

Edukatorzy seksualni obawiają się więc, że celem ustawy może być całkowite wyrugowanie ze szkół edukacji seksualnej. Już dzisiaj prowadzące takie zajęcia organizacje są na cenzurowanym. – Teraz chodzi o postawienie znaku równości między edukacją seksualną a seksualizacją. Obawiam się, że to celowa manipulacja – mówiła „Wyborczej” Katarzyna Banasiak-Marszałek, koordynatorka Grupy Ponton, prowadzącej warsztaty edukacji seksualnej dla uczniów. Jak podkreślają organizatorzy warsztatów, już teraz muszą mieć na ich prowadzenie zgodę dyrektora i – mimo że nie wynika to z przepisów – pisemną zgodę rodzica.

Przemysław Czarnek zaklina się, że edukacja seksualna w szkołach „była, jest i będzie, bo jest bardzo potrzebna”, a życie seksualne to „przepiękna sfera życia człowieka”. Natomiast zmiany w prawie są potrzebne, by zatrzymać działalność niektórych organizacji, których nauki to nie edukacja, ale demoralizacja seksualna. – Działalność kuratorów oświaty zamroziła to, można powiedzieć, w dużej części, ale jest potrzeba postawienia tamy, żebyśmy tej zgnilizny, demoralizacji nie obserwowali w polskich szkołach, tak jak się to dzieje w Europie Zachodniej czy w świecie Zachodu – zaznaczył minister. ●

Prokuratura znów będzie badać „zamach smoleński”

Prokuratura Krajowa powiadomiła w piątek PAP, że 5 lipca włączyła do śledztwa smoleńskiego zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia zamachu na prezydenta Lecha Kaczyńskiego i inne ofiary katastrofy.

Agnieszka Kublik

Takie zawiadomienie w kwietniu złożyła podkomisja smoleńska kierowana przez Antoniego Macierewicza (PiS). Dotyczyło podejrzenia popełnienia przestępstwa „zamachu na prezydenta Lecha Kaczyńskiego i usunięcia poprzez zabójstwo organu konstytucyjnego RP oraz morderstwa 95 innych osób”. W zawiadomieniu jest mowa o art. 134 kodeksu karnego (zamach na życie prezydenta RP). Artykuł ów powiada: „Kto dopuszcza się zamachu na życie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 12, karze 25 lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności”. Oraz o art. 128 (zamach na konstytucyjny organ RP): „§ 1. Kto, w celu usunięcia przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega ka-

rze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3. § 2. Kto czyni przygotowania do popełnienia przestępstwa określonego w § 1, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. § 3. Kto przemocą lub groźbą bezprawną wywiera wpływ na czynności urzędowe konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10”. Jarosław Kaczyński, prezes PiS, brat Lecha Kaczyńskiego, mówił wtedy, że „wierzy, że znajdują się odważni prokuratorzy, którzy poprowadzą tę sprawę”. – Bo dziś to wymaga odwagi. Z góry za tę odwagę dziękuję – dorzucił. Dotąd tych „odważnych” nie było – prokuratura pod wodzą Ziobry prowadzi smoleńskie śledztwo już od 2016 r. Powstał nawet specjalny zespół ds. katastrofy smoleńskiej, przeprowadził ekshumacje ofiar tragedii z 2010 r. (przy sprzeciwie zdecydowanej większości rodzin), powołał biegłych i zamówił szereg ekspertyz za granicą.



• **Antoni Macierewicz prezentuje raport komisji smoleńskiej.**
Warszawa, 11 kwietnia 2022 r. FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Milczenie nad zamachem na prezydenta Lecha Kaczyńskiego może skończyć się dla nas źle

ANTONI MACIEREWICZ

Konkluzje – zamachu nie było. W katastrofie w Smoleńsku prezydencka delegacja, która miała uczcić polskich oficerów zamordowanych w 1940 r. w ramach zbrodni katyńskiej przez władze Związku Sowieckiego, zginęła w wypadku lotniczym. 2 lipca publicznie skrytykował to Macierewicz. – Milczenie nad zamachem na prezydenta Lecha

Kaczyńskiego może skończyć się dla nas źle – przemawiał na XVIII Zjeździe Klubów „Gazety Polskiej” w Spale. – Ta wojna trwa w Polsce. Zamordowano całą elitę i przywódców. My, jako całe społeczeństwo, tolerujemy zbrodniarzy, antypolskich zbrodniarzy. Jak dotąd nic się z nimi nie dzieje. Bo milczymy! – przekonywał Macierewicz. Teraz okazuje się, że trzy dni później odważni prokuratorzy już się znaleźli. Jak poinformowała w piątek PAP Prokuratura Krajowa, zawiadomienie Macierewicza „w dniu piątego lipca zostało włączone do tzw. śledztwa smoleńskiego celem łącznego prowadzenia. W ramach tego postępowania badane są różne wersje zdarzenia”. Latem 2010 r. rządowa komisja Jerzego Millera ustaliła przyczyny katastrofy smoleńskiej – prezydencki tupolew leciał za nisko, za szybko, bez widoczności ziemi, w gęstej mgłę, zahaczył lewym skrzydłem o brzozę, stracił sterowność, obrócił się i runął. Zginęli na miejscu prezydent Lech Kaczyński, Maria Kaczyńska i 94 osoby obecne na pokładzie, w tym politycy ze wszystkich środowisk. ●

• **Więcej na Wyborcza.pl**



W sprzedaży!

- **PSYCHOLOGIA**
Dlaczego młodzi nie chcą żyć?
- **TECHNOLOGIE**
Z nosem w smartfonie
- **ŚWIAT**
Szwedzka recepta na zdrowie
- **NASTOLATKI**
Trudne emocje pokolenia Z

Nowy serwis



Sprawdź na wysokieobcasy.pl/zyclepiej

Rządowe pieniądze na ratowanie zabytków nie dla Warszawy

Wnioski władz Warszawy o dofinansowanie z państwowych funduszy prac przy cennych obiektach zostały odrzucone. Zamiast 23,3 mln zł na dziesięć zabytków przyznano 265 tys. zł na jeden.

Tomasz Urzykowski

Chodzi o Rządowy Program Odbudowy Zabytków. Rozstrzygnięcie jego pierwszego etapu odbyło się kilka dni temu. Pisaliśmy o tym, że w Warszawie, ale i w całej Polsce, gros środków poszło na obiekty sakralne. Program swoim nazwiskiem firmuje minister kultury Piotr Gliński.

Celem programu jest wsparcie samorządów w poprawieniu stanu, odbudowie i remontach obiektów zabytkowych. Mają być z niego dofinansowywane prace konserwatorskie, restauratorskie i roboty budowlane przy obiektach wpisanych do rejestru lub ewidencji zabytków. Dotacje mogą wynieść do 98 proc. wartości inwestycji, a minimalny wkład własny to przynajmniej 2 proc.

Wśród podmiotów ubiegających się o zastrzyk pieniędzy na zabytki był też stołeczny samorząd. Złożył ich 10 (to maksymalna liczba, którą dopuszcza program) na łączną kwotę 23,3 mln zł.

Wnioski o dofinansowanie warszawskich zabytków od XVII do XX w.

Wśród wniosków ratusza znalazły się aż trzy budowle dawnej Warszawy z końca XVIII w.:

- podziemna ceglana rotunda Elizeum w parku im. Rydza-Śmigłego – zaprojektowana przez Szymo-



• **Podziemna rotunda Elizeum w parku im. Rydza-Śmigłego. To jeden z dziesięciu zabytków, na których remont Warszawa nie dostała rządowego dofinansowania** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

na Bogumiła Zuga jako ogrodowy pawilon dla księcia Kazimierza Poniatowskiego, starszego brata króla. Okrągła budowla zwieńczona kopułą i przysypana ziemią. Niezbędne jest wykonanie w niej prac remontowych, budowlano-konstrukcyjnych i zabezpieczających, zwłaszcza hydroizolacji;

- studnia „Gruba Kaśka” w al. „Solidarności” – źródło publiczny zaprojektowany przez Szymona Bogumiła Zuga w formie rotundy przykrytej schodkowym dachem z obeliskiem na szczycie;

- „Gołębnik” przy ul. Puławskiej 59 – uznawana za symbol Mokotowa neogotycka wieżyczka wybudowana według projektu Szymona Bogumiła Zuga jako jeden z pawilonów romantycznego parku w posiadłości księżnej Izabeli Lubomirskiej.

Stołeczny samorząd zgłosił też budynki drewniane:

- oficynę Edmunda Burkego przy ul. Kawęczyńskiej 26 – powstała ok. 1900 r., dziś jest jednym z dwóch

ostatnich drewnianych domów na Pradze-Północ;

- dwa budynki przy ul. Siarczanej 6 – wybudowane na początku XX w. na terenie Targówka Fabrycznego. Planowana jest ich przebudowa oraz adaptacja na Centrum Kultury i Aktywności.

Kolejne wnioski miasta dotyczyły:

- obiektów Fortu Bema – wzniesionych w latach 1886-1890 jako część umocnień carskiej Twierdzy Warszawa. Wymagają przeprowadzenia prac zabezpieczających i porządkowych;

- modernistycznych kamienic przy ul. Grzybowskiej 47 i 47a – bliźniaczych czteropiętrowych budynków z 1938 r. zaprojektowanych przez Remigiusza Ostoję-Chodkowskiego.

Władze Warszawy wnioskowały też o wsparcie prac konserwatorskich przy obiektach należących do Parafii Ewangelicko-Augsburskiej św. Trójcy i wspólnoty mieszkaniowej (przepisy to dopuszczają):

- kaplicy grobowej rodziny Braeunig na cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim przy ul. Młynarskiej – najstarszym pomniku żeliwnym z pierwszej połowy XIX w.;

- kamienicy przy ul. Chmielnej 20, która dzięki środkom z programu mogłaby odzyskać XIX-wieczny wystrój architektoniczny elewacji frontowej.

Rozczarowanie rozdziałem dotacji. Rządowa pomoc głównie dla parafii

W pierwszym etapie Rządowego Programu Odbudowy Zabytków rozdzielono ponad 2,5 mld zł na realizację ponad 4,8 tys. projektów w całej Polsce.

Z dziesięciu wniosków z Warszawy odrzuconych zostało aż dziewięć. Pozytywnie rozpatrzone tylko ten dotyczący kaplicy grobowej Braeunigów na cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim.

Dotacja udzielona na kaplicę wyniosła 265 tys. zł i była powiązana z udzieloną dotacją ze strony m.st. Warszawy. Niestety, ze względu na przeciągające się ogłoszenie wyników naboru po stronie rządowej beneficjenci tej konkretnej dotacji zrezygnowali z otrzymania państwowej pomocy. Po prostu obawiali się, że nie zdążą zrealizować zadania – przekazuje nam wiceprezydentka Warszawy Renata Kaznowska. Nie kryje rozczarowania niemal całkowitym pominięciem stolicy w podziale funduszy z RPOZ: – Na 10 naszych wniosków tylko ten jeden otrzymał dotację. Dziwi nas takie rozstrzygnięcie, bo nasza lista obejmowała tak-

że obiekty wyjątkowej klasy, także cenne dla lokalnych społeczności, wymagające przeprowadzenia pilnych prac, jak np. drewniak Burkego czy grota Elizeum. Remonty tych obiektów wymagają wielkich nakładów, a pomoc rządowa mogłaby je przyspieszyć.

– W skali kraju zdecydowaną większość dotacji otrzymały parafie. To już zupełnie nie dziwi, bo od lat środki rządowe w zakresie zabytków rozdawane są w przeważającej mierze na kościoły – dodaje.

W podobnym tonie wypowiadają się warszawscy społecznicy. Krzysztof Michalski ze Stowarzyszenia „Porozumienie dla Pragi”, który od lat zabiega o remont drewnianej oficyny Edmunda Burkego przy ul. Kawęczyńskiej, decyzję o nieprzyznaniu Warszawie państwowych pieniędzy przyjął – jak sam przyznaje – ze zdziwieniem i smutkiem.

– Wydawało się, że po naszym apelu do władz miasta i dzielnicy, by ponad politycznymi podziałami aplikować o te środki, uda się pozyskać finansowanie. Nadzieję potęgował również fakt przejścia przez PiS władzy na Pradze i deklaracje lokalnych liderów tej partii, że wystąpią o dotację. Wyniki pokazują, że tak się nie stało – mówi Krzysztof Michalski. – Szkoda, ale broni nie składamy i planujemy zaapelowanie do władz miasta o wygospodarowanie miejskich środków na remont tego cennego zabytku.

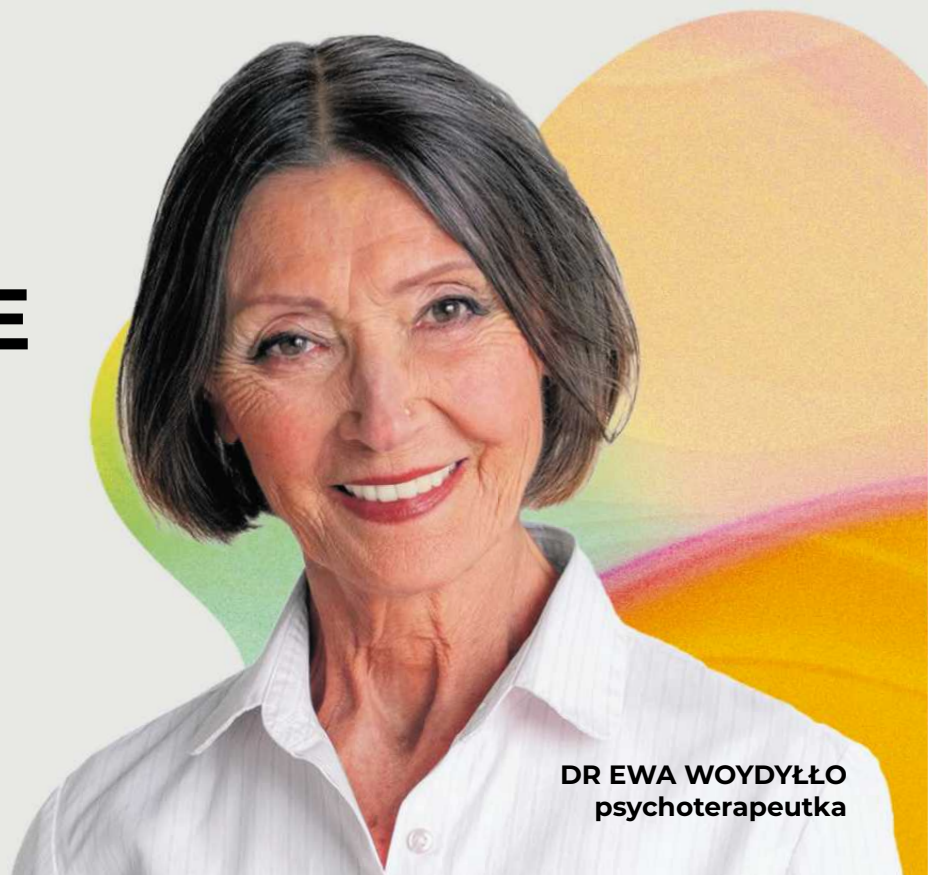
Zapytaliśmy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego o powody, które przesądziły o odrzuceniu wniosków o wsparcie remontów tak wyjątkowych obiektów. Odpowiedzi nie dostaliśmy. Niezadowolenie z rozdziału rządowych środków na ratowanie zabytków wyrażają samorządy także innych miast. Na przykład Lublin, który złożył dziesięć wniosków opiewających na 33,5 mln zł, nie dostał ani złotówki. ●

Z dziesięciu wniosków z Warszawy odrzuconych zostało aż dziewięć



JAK ULŻYĆ GŁOWIE I ZROZUMIEĆ INNYCH

wysokieobcasy.pl/zyclepiej



DR EWA WOYDYŁŁO
psychoterapeutka

7005
1335

Zł
• Tyle wyniosło
w czerwcu przecięt-
ne wynagrodzenie
brutto w dużych
firmach niefinan-
sowych i było
nominalnie (tzn.
bez uwzględnienia
inflacji) o 11,9 proc.
wyższe niż przed
rokiem. Źródło: GUS

Kraje o największym spożyciu ziemniaków

Dane w kg rocznie na mieszkańca

Białoruś	178
Ukraina	131
Łotwa	124
Rosja	112
Kazachstan	103
Polska	102
Rumunia	99

© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: WARZYWA I OWOCE/EASTFRUIT



*Mieszkanie jest prawem człowieka (...),
a państwo nie może być obojętne na to, czy ktoś
ma swój dom, czy go nie ma, ponieważ
dom nie jest towarem*

KLARA GEYSITZ

niemiecka ministra mieszkalnictwa, rozwoju miast i budownictwa

Miliony za auta z salonu

Luksus na czterech kołach
nie zwalnia

Luksusowe auta sprzedają się jak świeże bułeczki. Kryzys ich nie dotyka. W pandemii zapracowani bogacze mieli wreszcie czas, by pomyśleć o nowych zabawkach i odświeżeniu swoich garaży.

Karolina Chojnacka

Myślisz, że Rolls-Royce'a, McLarena czy Astona Martina sprzedaje się tak samo jak każde inne auto? Jesteś w błędzie.

Klient zaopiekowany

– To jest zupełnie inny rynek. Samochody luksusowe sprzedaje się trudniej, ale zdecydowanie ciekawiej – mówi Wyborcza.biz Stanisław Bialecki, który jest jedną z dwóch osób w Polsce sprzedających sportowe auta w salonie McLaren Warszawa. Z roku na rok bije własne rekordy sprzedaży. I doskonale zna każdy samochód, który sprzedał.

To, że jest to zupełnie inny świat, potwierdza również Piotr Czereszko z Aston Martin Warsaw, który przez niecałe dwa lata sprzedał kilkadziesiąt astonów martinów. To auto luksusowe. Samochody marek premium w Polsce już przeszły do mainstreamu.

– Marki premium w tej chwili stały się w Polsce mocno wolumenowe. W salonach tych marek klient odbywa jazdę testową, konfiguruje samochód i decyduje się lub nie. Tak w dużym uproszczeniu przebiega tam proces zakupowy. Sprzedawcy samochodów pre-

• Luksusowy SUV
Aston Martin DBX,
jeden z ulubionych
modeli klientów
w Polsce FOT. MATERIA-

LY PRASOWE

Bogatych kryzys nie tyka

• W zeszłym roku wartość dóbr luksusowych w Polsce wyniosła

37
mld zł,

wynika z raportu
KPMG w Polsce
pt. „Rynek dóbr
luksusowych
w Polsce. Luksus

w niepewnych czasach”.

• Największą częścią rynku produktów luksusowych są samochody. Szacowana wartość tego segmentu to prawie

25
mld zł.

• Z danych Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar wynika, że w 2022 r. Polacy zarejestrowali

329
sztuk

samochodów
luksusowych.

mium nie są w stanie poświęcić tyle czasu klientowi, zaopiekować się nim tak, jak to robimy w naszym salonie. W marce luksusowej na wszystko jest tyle czasu, ile trzeba – mówi.

Czas na co? Przede wszystkim na rozmowy z klientami. Jak przyznaje Piotr Stefański z Rolls-Royce Motor Cars Warszawa, często – ale nie zawsze – klienta trzeba wprowadzić w świat marki, opowiedzieć o samochodzie, którego na co dzień na ulicy nie zobaczy.

Klienci marek ultraluksusowych chcą czuć się wyjątkowo zaopiekowani, zadbani i wyjątkowi. Chcą mieć pewność, że zawsze po drugiej stronie ktoś na nich czeka i od-

powie im na pytanie czy pomoże. Obsługując takich klientów, trzeba być gotowym na wiadomości i telefony o najróżniejszych porach dnia i nocy.

Czas na co?

I choć może zabrzmieć to banalnie, w salonach aut luksusowych sprzedaje się coś więcej niż tylko samochody. Wchodzi się w uniwersum, nie ograniczając się tylko do jeżdżenia. Marki organizują dla swoich klientów unikalne wyjazdy i udział w eventach dostępnych dla niewielu, na których mogą poznać podobnych sobie pasjonatów motoryzacji. A przy okazji nawiązać relacje biznesowe. Słowem – kupno auta za kilka milionów może otwierać drzwi do klubu milionerów. ●

• Jak się sprzedaje drogie samochody? Więcej ► II-II

Milion, dwa, a nawet trzy. Za tak astronomiczną kwotę wybudujesz dom, a nawet kilka, udasz się w podróż dokoła świata lub... kupisz samochód.

Karolina Chojnacka

Najważniejsza jest dobra relacja z klientem, odpowiada każdy ze sprzedawców z salonów samochodów luksusowych prowadzonych pod szyldem Auto Fus Group, z którymi rozmawiam. I miłość do motoryzacji.

Stanisław Bialecki, który jest jedną z dwóch osób w Polsce sprzedających sportowe auta w salonie McLaren Warszawa, mówi, że klientów można podzielić na trzy grupy. Pierwsza i najliczniejsza to pasjonaci motoryzacji, którzy poszukują auta dającego radość z jazdy.

– To osoby, z którymi prowadzi się najbardziej porywające rozmowy. To ludzie, którzy jeżdżą swoimi samochodami na co dzień, jeżdżą po torze, kochają prowadzić, a nie tylko podziwiać go w garażu – mówi z taką pasją, że już wiem, że on też kocha spędzać czas za kierownicą. I z dumą przyznaje, że jak obserwuje garaże klientów, to McLareny wśród supersportowych aut mają zazwyczaj największe przebiegi. Jeden z klientów przyjechał na pierwszy przegląd, który jest obowiązkowy po przejechaniu 15 tys. kilometrów, raptem po ośmiu miesiącach.

Także klienci Rolls-Royce’a Phantom czy Ghosta, luksusowych limuzyn dla prezesów, kupują samochody, by je prowadzić. – To ogromna przyjemność, kierować takim samochodem – zdradza Piotr Stefański z Rolls-Royce Motor Cars Warszawa i przytacza wyniki badań przeprowadzonych przez markę wśród klientów, z których ponad 80 proc. stwierdziło, że sami kierują swoimi autami. – To tak niesamowita frajda, że fundowanie tej przyjemności obcej osobie i jeszcze płacenie jej za to trochę mijają się z celem – żartuje Stefański.

Z kolei Piotr Czereszko z Astona Martina zwraca uwagę, że część osób do salonów przyciąga zamilowanie do motoryzacji takiej, jaką jeszcze jest, ale już wkrótce może jej nie być, czyli spalinywej. – Pomimo restrykcyjnych norm emisji spalin i wszystkich filtrów, które muszą być stosowane w silnikach i układach wydechowych, to te samochody dalej świetnie brzmią. I fani motoryzacji to doceniają.

Druga grupa według Stanisława to osoby, które „oceniają książkę po okładce”, czyli spodobał im się wygląd auta i postanowili, że muszą mieć go w swoim garażu. Jeden klient, gdy zobaczył na żywo McLarena Arturę, przyznał szczerze, że nigdy nie zastanawiał się nad zakupem hybrydy plug-in, ale ta skradła jego serce. Z kolei McLaren 750S Spider jest jednym z nielicznych aut z otwieranym dachem typu hardtop przyciągającym niektórych klientów jak magnes.

Do tego dochodzi np. legenda marki. W przypadku Astona Martina jest to samochód, który kojarzy się z dżentelmenem. I każdy dżentelmen chciałby go mieć w swoim garażu. Na popularność marki wpływają też sukcesy w sportach motorowych.

Trzeci typ klienta to osoby szukające wyjątkowych okazji. Ale oczywiście nie cenowych. Chodzi o limitowa-



Kto i po co kupuje a

• **Piotr Czereszko sprzedał Astona Martina DBX po kilkudziesięciu minutach rozmowy, ale inny klient dojrzał do zakupu auta ponad rok.** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ne serie i specjalne egzemplarze aut, jak np. ograniczony do 765 sztuk McLaren 765LT. Cena wyjściowa? Co najmniej 1,84 mln zł za sztukę. – Pułę przyznaną na polski rynek sprzedano na ponad rok przed pierwszą prezentacją samochodu – zdradza Stanisław. O tym, kto stanie się dumnym posiadaczem takiego samochodu, decyduje albo kolejność zgłoszeń, albo – jak w przypadku mocno limitowanego do 149 sztuk McLarena Elvy – kierownictwo McLaren w brytyjskim Woking.

Jedni chronią wartość pieniądza przed rosnącą inflacją, inwestując w mieszkania albo w dzieła sztuki, inni kupują luksusowe auta. To samochody, które z biegiem lat robią się jak wino.

KLIENT NASZ PAN. A MOŻE PRZYJACIEL?

Zaraz po nawiązaniu dobrej relacji z klientem bardzo ważne jest poznanie samego klienta i jego potrzeb.

– Uważam, że nie ma relacji bez rozmowy. Im więcej rozmawiamy, tym lepiej się poznajemy – mówi Piotr Stefański, od ponad dziewięć lat sprzedający samochody ze Spirit of Ecstasy na masce. Czy ktoś lepiej nadawałby się do tej pracy? Wątpię. Ubrany w idealnie skrojony garnitur, dystyngowany,

ważący każde słowo jest właściwą osobą na właściwym stanowisku.

Stanisław z warszawskiego salonu McLarena przyznaje, że zacieśnianie kontaktów z klientami przychodzi mu bardzo naturalnie. – To następuje w momencie poczucia wspólnej pasji. Po prostu stajemy się „kolegami” rozmawiającymi o samochodach, o mocy, o silniku, o tym, jak brzmi. W naszej małej, motoryzacyjnej społeczności łączy nas pasja – mówi i zdradza, że klient od razu wyczuje, czy rozmawia ze sprzedawcą, który tylko przychodzi na osiem godzin do pracy, czy z prawdziwym pasjonatem.

– Klienci bardzo szybko weryfikują, czy ktoś, kto siedzi po drugiej stronie i chce im ten samochód sprzedać, robi to, bo po prostu nie miał innego pomysłu na siebie, czy to jest jego pasja, wie o czym mówi i podchodzi do tego mniej lub bardziej emocjonalnie – potwierdza Piotr Czereszko. Gdy mówi o autach brytyjskiej marki kojarzonych z Jamesem Bondem, ma błysk w oku.

I dodaje: – My po prostu się lubimy. Mamy o czym ze sobą porozmawiać. Często klienci bez zapowiedzi wpadają do salonu Astona Martina na kawę i przez godzinę lub więcej rozmawiamy o motoryzacji, ale nie tylko. To jest coś, co bardzo w tej pracy cenię – poza samochodami, które kocham – to właśnie relacje z bardzo ciekawymi ludźmi – mówi Piotr Czereszko.

Podczas rozmowy ze Stanisławem i oboma Piotrami nie mam wątpliwości, że w ich żyłach płynie benzyna. Dane techniczne wszystkich modeli, nawet tych, które już dawno nie są dostępne, mają w małym palcu. Jak asami z ręką rzucając ciekawostkami na temat różnic w sposobie przełożeń skrzyni biegów między jednym modelem a drugim. Obudzeni w nocy powiedzieliby ci wszystko, co chcesz wiedzieć na temat danego samochodu.

A kim są klienci? W tym segmencie samochodowego biznesu najważniejsza jest dyskrecja. Klienci salonów luksusowych samochodów lubią się czasami pokazać, ale na własnych warunkach. Najprościej wypatrzeć ich na drodze, gdzie ich auta wyróżniają się z tłumu.

NIE MA JEDNEJ DROGI

Kto robi pierwszy krok? Tu nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Czasami to sprzedawca dzwoni do klienta z informacją, że pojawił się nowy model. Czasami to klient zadzwoni, że widział dany model i jest zainteresowany. Osoby kupujące samochody za kilka milionów złotych często z zainteresowaniem śledzą rynkowe trendy i czekają na nowości.

Klienci potrafią być wymagający, co jest dość zrozumiałe, bo wydają spore sumy. – Oczekują wiedzy, profesjonalizmu i poczucia, że rozmawiają z odpowiednią osobą, która nie będzie ich mamić – mówi Piotr Czereszko.

Niektórzy klienci wolą przyjechać do salonu. Inni chcą, żeby przyjechać do nich z samochodem demonstracyjnym, żeby mogli go przetestować na drogach, którymi jeżdżą na co dzień.

– Klient musi poczuć ten samochód. Nie tylko go zobaczyć czy usłyszeć. To najważniejsza rzecz w McLarenie. Uważam, że nie ma drugiego tak chirurgicznie prowadzącego się auta, jak te ze stajni brytyjskiej marki – mówi Stanisław Bialecki.

Aczkolwiek nie jest to reguła. Piotr Czereszko sprzedał Astona Martina DBX po kilkudziesięciu minutach rozmowy, ale inny klient dojrzał do zakupu auta ponad rok.

Później przychodzi czas na konfigurację. Albo inaczej... szycie na miarę. Czy też po prostu spełnianie marzeń. – Pewna klientka opowiedziała mi, że 20 czy 30 lat temu zobaczyła na stacji benzynowej samochód w pięknym pomarańczowym kolorze i od tego czasu o takim marzyła. Zawsze chciała mieć taki samochód i udało nam się znaleźć lakier o jak najbardziej zbliżonym odcieniu do tamtego – wspomina Piotr Czereszko.

Kolor lakieru (są ich tysiące), rodzaj tapicerki (skóra w Astonie Martinie ma wyjątkowy i niepowtarzalny zapach – dostawca dostarcza ją tylko tej marce), przeszycia, logo wyszyte na zagłówku, fornir z drewna z otwartymi porami – to wszystko ma znaczenie. – Najczęściej klienci dążą do perfekcji. Każdy detal się liczy – zgodnie przyznają sprzedaw-

Luksus czy fanaberia?

1,84

MLN

• **Tyle – po cenie wyjściowej – kosztował ograniczony do 765 sztuk McLaren 765LT.**



• – Jest takie powiedzenie w motoryzacji: pierwszy samochód sprzedaje salon, a każdy następny sprzedaje serwis – mówi Michał Przetakiewicz z Auto Fus Group (na zdjęciu w salonie Rolls Royce)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przegląd, to norma. Doradcy serwisowi powinni jednak uprzedzać technologię. Od czasu do czasu telefon do klienta z pytaniem, jak się on/ona miewa oraz jakie ma wrażenia z eksploatacji samochodu, nie zaszkodzi. Wręcz przeciwnie. To buduje u klienta poczucie bycia otoczonym opieką i realnym zainteresowaniem. Każdy z nas nosi z tyłu głowy jakieś sprawy, które odkłada na później i na później, i na później. Taki telefon z serwisu nie raz pomagał wyjaśnić problem, który dręczył właściciela, ale który ten chciał rozwiązać „przy okazji”.

– Ważne, żeby klient wiedział, że ktoś czuwa nad nim i jego samochodem – podkreśla Michał Przetakiewicz. I czasami porównuje życie w serwisie do służby w straży pożarnej. Czasami wybuchają „pożary” i trzeba je jak najszybciej ugasić w zorganizowany, metodyczny i przemyślany sposób. – Klienci dzwonią z różnymi problemami. Czasami jest to poważna usterka samochodu, a czasami są to z naszego punktu widzenia i doświadczenia błahе rzeczy, ale ważne dla klienta, czyli jak np. włączyć jakąś funkcję w aucie lub co oznacza komunikat, który wyświetlił się na ekranie samochodu – mówi.

Także on podkreśla, że absolutnie najważniejsze są relacje z klientem. Jeśli te są złe, to drobny problem może urosnąć do rangi gigantycznego bałaganu, którego nie da się uprzątnąć. Jeśli ta relacja jest przyjacielska, można liczyć na wyrozumiałość, co w czasach pocovidowych, kiedy wciąż są problemy i zawirowania z łańcuchami dostaw i zdarza się, że części przychodzą później, niż powinny, jest na wagę złota. – Drobny problem na drugim końcu świata może wpłynąć na niezadowolenie polskiego właściciela sportowego samochodu, który nie może cieszyć się jazdą swoim krwistoczerwonym McLarenem lub butelkowozielonym Aston Martinem. Dobra i partnerska relacja pomaga przetrwać wszystkie tego typu problemy – mówi Michał.

A problemy rozwiązują mistrzowie w swoich dziedzinach. Poza zespołem doradczym i kontrolnym nad wszystkim czuwa również nasz mistrz serwisu, który na podstawie swojego ponad 20-letniego doświadczenia weryfikuje, czy naprawa przebiegła poprawnie, czy zakończyła się sukcesem, a także naucza i przekazuje swoją wiedzę zespołowi... już nie tyle mechaników, a elektrotechników. Bo dziś samochody to komputery na kołach. A że zainteresowanie takimi kierunkami w szkołach zawodowych jest coraz mniejsze, to w Auto Fus Group doświadczeni elektrotechnicy kształcą również nowe pokolenie specjalistów, którzy są i będą kregosłupem całego zespołu serwisowego.

Auta stają się coraz bardziej zaawansowane technologicznie. Samochodowy luksus powoli zmienia też swoje oblicze. Sportowy supersamochód z przeszłościem, że myślisz się nie przeciętnie? Tak, ale... klienci coraz częściej pytają o SUV-y. Stanisław przyznaje, że przynajmniej raz w miesiącu dostaje telefon z pytaniem o SUV-a spod znaku McLaren. DBX stanowi połowę aut sprzedanych przez warszawski salon Astona Martina. ●

cy. I nie wszystko da się wybrać, klikając tylko w ekran komputera.

W fabryce Rolls-Royce’a w Goodwood stoją lampy, które imitują światło pod różnymi szerokościami geograficznymi, tak żeby klient miał pewność, że wybrany przez niego lakier prezentuje się idealnie.

I Piotr Stefański razem z klientami jeździ do domu Rolls-Royce’a w Goodwood. Stanisław też lata z klientami do siedziby McLaren’a w Woking.

Specjalne wymagania? Sky is the limit. Do gry wkraczają wtedy eksperci czy to z McLaren Special Operations, czy Q by Aston Martin, czy Bespoke w przypadku Rolls-Royce’a, dzięki którym samochód staje się naprawdę wyjątkowy. I jak mówi Piotr Czereszko, po to właśnie istnieją marki luksusowe – by spełniać życzenia i wymagania klientów.

Np. Rolls-Royce Coachbuild to program, który pozwala zaprojektować własny samochód w najmniejszych detalach. Proces budowy takiego samochodu może trwać nawet kilka lat, ale klient ma pewność, że będzie jeździł samochodem jedynym w swoim rodzaju, jak np. Rolls-Royce Boat Tail (szacowany przez rynek na 26,2 mln euro). Dotychczas żaden klient w Polsce nie skorzystał z programu Coachbuild, ale za jakiś czas? Kto wie?

Tylko raz przyjechał do Polski Mark Court z Rolls-Royce’a, którego zadaniem jest malowanie tzw. coachline, charakterystycznej linii ciągnącej się przez ca-

łą długość samochodu. Mark jest jedynym pracownikiem firmy wykonującym tę ozdobę. Używa do tego specjalnego pędzla z włosia z wiewiórczego ogona. Podobno taki jest najlepszy.

Czy są marzenia nie do spełnienia? – Tak. Są to życzenia, które są wbrew prawu i wbrew bezpieczeństwu. Tych życzeń nie spełniamy – mówi Piotr Stefański. Klient może też się rozmyślić lub zmienić zdanie. Do momentu skierowania samochodu do produkcji jest czas na zmiany. Nie ta nitka? Spokojnie, wymienimy. Więcej dodatków z włókna węglowego? Żaden problem.

Klient często podróżuje? W ofercie jest zestaw walizek, które idealnie wypełniają przestrzeń bagażnika. Jest miłośnikiem zwierząt? Do wyboru już czekają dedykowane akcesoria dla pupila.

Nawet gdy auto trafi już do garażu klienta, też można wprowadzić pewne zmiany. Złota figurka Spirit of Ecstasy zamiast srebrnej? W serwisie przy ulicy Ostrobramskiej wymienią to niemal „od ręki”. Kupujący luksusowe samochody to osoby bardzo cierpliwe. Czeakać ponad pół roku czy rok na wymarzone auto? Nie ma problemu. Dlaczego tak długo? Auta są ręcznie budowane. To ważne – i to podkreślają moi rozmówcy – te samochody nie są produkowane. Produkcja to coś masowego. Luksusowe auta są budowane. Można zaryzykować stwierdzenie, że to prawdziwe rękodzieła. Np. zrobienie wnętrza w DBX to 70 godzin ręcznej pracy.

SAMOCHÓD SPRZEDANY PO RAZ PIERWSZY I PO RAZ DRUGI

– Jest takie powiedzenie w motoryzacji: pierwszy samochód sprzedaje salon, a każdy następny sprzedaje serwis – mówi Michał Przetakiewicz. After-sales Manager for Luxury Brands w Auto Fus Group i przyznaje, że w tym powiedzeniu jest dużo prawdy. Pracownicy serwisu też są sprzedawcami, tylko sprzedają trochę inną usługę.

Bo choć sprzedawcy utrzymują kontakty z klientami, to jego zdaniem ich częstotliwość jest czasami nawet kilkukrotnie mniejsza niż w przypadku ludzi, którzy pracują w obsłudze posprzedażowej, tj. doradcy serwisowi i managerowie serwisu.

To, w jaki sposób pracownicy serwisu radzą sobie z różnymi problemami i wyzwaniem, które stawiają klienci i ich samochody, buduje zaufanie i fundamenty relacji, dzięki którym zostaje się z daną marką na lata. W tym przypadku kluczem do sukcesu jest umiejętność prognozowania bliższej i dalszej przyszłości, rozpoznawania zagrożeń, elastyczność w szukaniu rozwiązań i proaktywne działanie, aby wyjść z inicjatywą i zaopiekować się samochodem klienta szybko i sprawnie.

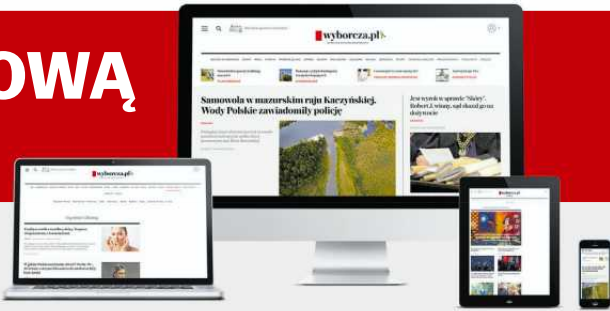
W dzisiejszych czasach samochody są bardzo „inteligentne” i same zgłaszają swoje potrzeby. Wiadomość wysłana przez samochód, że już czas na

DZIŚ OSTATNI DZIEŃ ZAMÓWIEŃ NA SIERPIEŃ

KUP PRENUMERATĘ TECZKOWĄ

I ODBIERZ DOSTĘP DO WYBORCZA.PL*

CODZIENNIE



CENA
149,90 ZŁ
**GWARANCJA
NAJNIŻSZEJ
CENY****

* Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (pn.-pt. 8-19, sob. 9-17) i podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Cena sugerowana



◀ **Polacy spożywają najwięcej ziemniaków w Unii Europejskiej – 101,7 kg rocznie na głowę**

FOT. ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polacy spożywają najwięcej ziemniaków w Unii Europejskiej – statystycznie, według portalu Warzywa i Owoce, który powołuje się na dane firmy EastFruit, jest to 101,7 kg na głowę rocznie. W Unii ustępujemy tylko Łotyszom – 124 kg.

To stan na dziś. A jak było kiedyś? Stare, dobre czasy wspomina w rozmowie ze mną Wojciech Nowacki, prezes honorowy Stowarzyszenia Polski Ziemniak, który temu warzywu poświęcił 40 lat swojej zawodowej kariery.

– Historycznie jesteśmy krajem ziemniaka. W PRL mieliśmy 3 mln hektarów upraw. Dziś jest to 190 tys. hektarów i ciągle ubywa – mówi nam Wojciech Nowacki.

GDZIE SIĘ PODZIAŁY POŁA ZIEMNIAKÓW?

Zawał w polach uprawnych nastąpił tuż przed pandemią, od tamtej pory, wbrew temu, o czym zapewnił minister rolnictwa, uprawa ziemniaka się zwija – ubyłoby nam w kilka lat 300 tys. hektarów pól. Dlaczego? Likwidowały się małe gospodarstwa – ziemniakowi szkodzi trwająca susza, zagraniczna konkurencja, koncentracja produkcji przez dużych plantatorów i inflacja, która trwale podwyższyła jego ceny.

To nie przypadek, że w tym roku trudno było dostać młode ziemniaki. To produkt taki jak malina czy truskawka, który musi być sprzedany szybko, nie lubi leżakowania na półce, głównie sprzedawany przez rolników na targowiskach – młode ziemniaki z tych samych powodów co wymienione maliny źle znoszą transport czy ekspozycję na ladach marketów i w siatkach, które są ciągle wygodne dla dużej liczby klientów.

A rolnikom coraz mniej opłaca się produkować i sprzedawać młode ziemniaki. Dlaczego? Jak tłumaczy nam Nowacki, jest susza, koszty produkcji są wysokie i małe 3-5 hektarowe gospodarstwa, które tradycyjnie były głównym źródłem młodych ziemniaków na rynku, likwidują się.

W tę niszę nie wchodzi albo wchodzi z dużą rezerwą duzi producenci – dla nich to nie jest rynek docelowy, bo z powodu braku wody młode ziemniaki są złej jakości. Duzi producenci, gdy jest sucho, inwestują w deszczownice, nawadniają uprawy i czekają, aż ziemniak będzie okazały, ale stary.

IŁE KOSZTUJĄ ZIEMNIAKI I DLACZEGO TAK DUŻO?

Ile kosztują ziemniaki? Ceny są sezonowe, obecnie na targowiskach hurtowych jest to ok. 1,3 zł za kilogram. Kilka lat temu było to 50-70 gr za kilogram. Ceny w marketach wahają się od 2 do 5 zł za kilogram. Ceny młodych to wydatek 6-10 zł za kilogram.

– Jeszcze dawniej ziemniak w hurcie kosztował 20 gr. Dziś nawet 2 zł, uwzględniając koszty produkcji. To efekt inflacji, wzrostu kosztów produkcji, wzrostu cen żywności. Epoka taniej żywności już się skończyła – mówi Wojciech Nowacki.

Ceny są wysokie, spada też produkcja ziemniaków. O ile w 2021 r. wyprodukowaliśmy 7 mln ton, to w 2022 r. było to 6 mln ton, a ten rok zapowiada się na najsłabszy w historii: 5,5-5,8 mln ton.

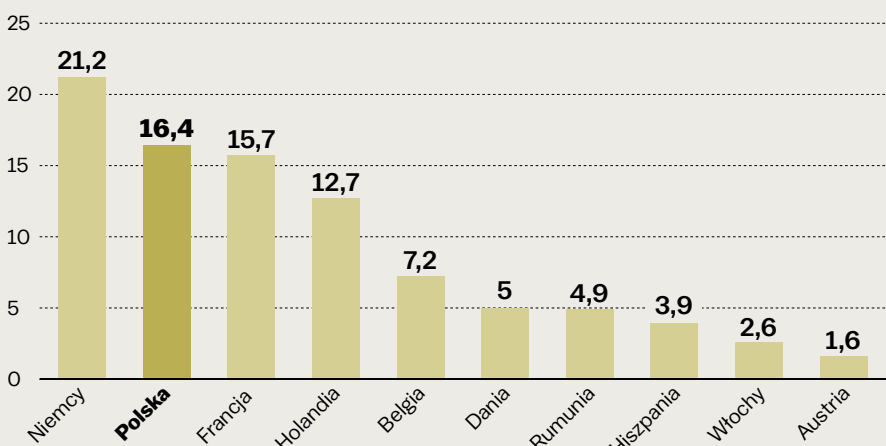
Z tego 3 mln trafia bezpośrednio na talerze, z 2 mln na przetwórstwo, np. produkcję chipsów czy produkcję skrobi ziemniaczanej. Co do zasady, nie musie-

Polski ziemniak schodzi ze sceny

Globalizacja dopada polskiego ziemniaka: konsumenci jeszcze nigdy nie mieli do wyboru ziemniaków z tylu krajów: z Egiptu, Cypru, ze Szwecji, z Wielkiej Brytanii, Francji czy Danii. Polskich producentów dopada susza.

Najwięksi producenci ziemniaków w UE

Dane w proc.

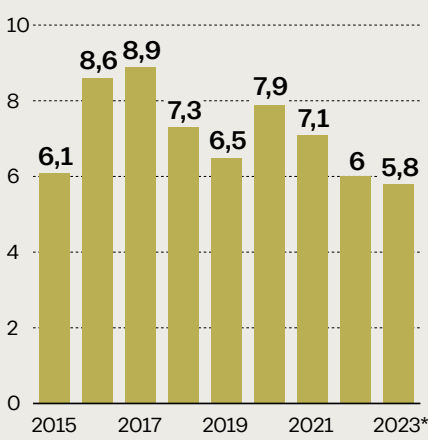


© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: EUROSTAT

Zbiory ziemniaków w Polsce

Dane w mln ton



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: EUROSTAT

Ireneusz Sudak

Polska jest ziemniaczaną potęgą. Jesteśmy drugim w Unii Europejskiej producentem tego bulwiastego warzywa, a sami Polacy spożywają go najwięcej wśród krajów Wspólnoty. Ale złote lata polski ziemniak ma już za sobą – producenci zmagają się z suszą, rosnącymi kosztami produkcji, ubywa arealów.

Na sklepowych półkach coraz częściej można spotkać zapakowane, umyte ziemniaki z najróżniejszych krajów świata. To już nie tylko młode cypryjskie odmiany, ale zwykłe ziemniaki z bardzo egzotycznych, jak na to warzywo,

krajów. W jakiej kondycji jest polski ziemniak?

POLAK ZJADA 100 KG ZIEMNIAKÓW ROCZNIE

– Ziemniak to wspaniała, ważna w historii świata roślina, przeżywa swój renesans. Polska będzie znów ziemniaczaną potęgą – przekonywał w 2020 r. ówczesny minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski.

Po trzech latach uprawa ziemniaka konsekwentnie się zwija. Koronny dowód to ubytek i wysokie ceny mło-

dych polskich ziemniaków – jeśli ktoś odnotował, że takich w ofercie nie było albo było jak na lekarstwo, to nie był przypadek.

Co się dzieje i jaki jest pejzaż produkcji ziemniaków?

Światowym liderem produkcji są Chiny, gdzie roczne zbiory wynoszą ok. 95 mln ton. Następnie są Indie (54 mln ton) oraz Ukraina (21 mln ton). Polska znajduje się w pierwszej dziesiątce światowego rankingu wielkości produkcji ziemniaków. Zbiory na poziomie 7 mln ton w 2021 r. uplasowały nas na dziewiątym miejscu na świecie i drugim w Unii Europejskiej.

libyśmy importować ziemniaków, jeste-
śmy samowystarczalni. Moglibyśmy je
nawet eksportować, ale przez lata obo-
wiązywał unijny zakaz związany z tra-
wiącą powszechnie polskie ziemniaki
bakterią clavibacter. Od trzech lat zaka-
zu nie ma, ale ziemniaki wyprodukowa-
ne w Polsce muszą być dodatkowo ba-
dane – chętnych na nie nie ma.

Zamiast tego ziemniaki importujemy,
choć nie jest to duża skala. W ubiegłym
roku było to ponad 200 tys. ton z kra-
jów UE. Ale liczy się tendencja, a liczy-
by są o kilkanaście procent większe niż
w 2021 r. Co się takiego dzieje?

FRANCUSKI ZIEMNIAK ZNA PRZEPIS NA WIECZNĄ MŁODOŚĆ

Statki z ziemniakami krążą po Europie,
a hurtownicy kupują od tego, kto zaofe-
ruje lepszą cenę. Nowacki opowiada
o ziemniakach z Francji, która jest trze-
cim producentem w UE. Francuzi dyspo-
nują nowoczesnymi przechowalniami,
które zatrzymują kielkowanie: zapew-
nione są odpowiednia wilgotność, tem-
peratura i skład atmosfery, i prawdopo-
dobnie sprzedają teraz zahibernowane
nadwyżki kartofli z poprzedniego roku.

W Polsce takich przechowalni prak-
tycznie nie ma, a pierwsze duże inwe-
stycje są dopiero w budowie, np. we wsi
Potęgowo na Pomorzu.

O ile kiedyś Polacy zagraniczne ziem-
niaki kojarzyli z młodymi cypryjskimi,
które jak tłumaczy Nowacki, młode wcale
nie są, to teraz w sklepach różnych sieci
zagranicznych kartofli jest sporo, moż-
na powiedzieć: do wyboru, do koloru.

Na sklepowych półkach produkty rol-
ne muszą mieć oznaczony kraj pocho-
dzenia. I klienci mają do wyboru najróż-

niejsze kraje. Zapytaliśmy sieci handlo-
we, czy zwiększają asortyment zagra-
nicznych ziemniaków i jaki one stano-
wią procent oferty.

Polski ziemniak stanowi ponad
90 proc. naszej rocznej sprzedaży te-
go warzywa. W roku 2022 sprzedali-
śmy ponad 120 milionów kilogramów
ziemniaków, a ich sprzedaż systema-
tycznie rośnie – tłumaczy biuro prasowe
sieci Biedronka.

– Obecnie podstawowym produktem
jest polski wczesny ziemniak sprzeda-
wany luzem. Natomiast ze względu na
jego delikatną skórkę, nienadającą się
do opakowań zbiorczych (siatek), w ja-
kich sprzedajemy selekcję na salatkę,
gdzie musi być umieszczane warzywo
szczotkowane i myte (zatem musi mieć
grubszą skórkę, której jeszcze nie ma-
ją polskie młode), wspieramy tę ofertę
ziemniakiem importowanym do czasu,
gdy krajowe osiągną skórkę pozwalającą
na pakowanie – tłumaczy Biedronka.

– Polskie ziemniaki stanowią ponad
90 proc. wolumenu oferowanego w skle-
pach sieci – podaje Daria Raganowicz
z biura prasowego sieci Stokrotka. – Po-

*To nie przypadek, że w tym roku trudno było
dostać młode ziemniaki. To produkt taki
jak malina czy truskawka, który musi być
sprzedany szybko, nie lubi leżakowania na
półce, głównie sprzedawany przez rolników
na targowiskach*

nadto w ostatnich latach ograniczana
jest dostępność ziemniaków pochodzą-
cych z innych krajów. Widzimy więc, że
osoby robiące zakupy w Stokrotce pre-
ferują ziemniaki rodzimego pochodze-
nia – mówi Raganowicz.

– Utrzymanie polskiego produktu na
półkach jest dla nas priorytetem – mó-
wi Hanna Bernatowicz z Auchan Polska.
– W sezonie 2022 w naszych sklepach
sprzedaliśmy ponad 7,5 tys. ton ziem-
niaków. Sprzedaż ziemniaków pocho-
dzących z innych krajów kształtowała
się na poziomie 0,5 tys. ton, co stanowi
0,7 proc. udziału w sprzedaży ziemnia-
ków w Auchan oraz spadek o 1,5 proc.
w porównaniu do roku 2021 – dodaje
Bernatowicz.

ZAGRANICZNE ZIEMNIAKI TO NIE NOWOŚĆ

Dlaczego, mimo że konsumenci wolą
w deklaracjach krajowe i tańsze ziem-
niaki, dostępne są mimo wszystko pro-
dukty zagraniczne?

– To nie jest nowa tendencja. Od wie-
lu lat importowane ziemniaki okreso-
wo pojawiają się w Polsce ze względu
na brak dostępności krajowego surow-
ca wystarczającej jakości – mówi nam
Kamil Maniak, prezes Zarządu Stowa-
rzyszenia Polski Ziemniak.

Wymagania jakościowe sieci handlo-
wych (będące niekiedy również konse-
kwencją oczekiwań konsumentów) są
wysokie, a kilka miesięcy po zbiorach
(np. w czerwcu) krajowi dostawcy nie
mogą zdobyć lokalnie takiego towaru
– wyjaśnia Maniak.

Zagadkę egzotycznych ziemniaków
spoza UE wyjaśnia tym, co się działo
przed rokiem.

– W poprzednim sezonie w krajach
UE mieliśmy do czynienia z bardzo du-
żym niedoborem ziemniaków. Prasa po-
dawała informacje o rekordowych pozio-
mach cen w krajach południowej Euro-
py. Aby zbilansować niedobory, w wie-
lu krajach konieczny był import z kra-
jów spoza UE – m.in. z Wielkiej Brytanii,
Egiptu i Izraela. Problem z dostępnością
ziemniaków pojawił się także w Polsce
– mówi Kamil Maniak.

Jego zdaniem skala importu gene-
ralnie nie jest duża – wynosi poniżej
10 proc. To, że są one oferowane zwa-
żone i w siatce, również wynika z pre-
ferencji konsumentów. Taka forma opa-
kowania jest po prostu wygodniejsza dla
klienta docelowego.

Problem leży gdzie indziej. W od-
różnieniu od innych krajów, szczegól-
nie wspomnianej Francji, nie mamy
infrastruktury do przechowywania
ziemniaków.

– Problemem jest właściwe przecho-
wanie ziemniaków od jesiennych zbio-
rów aż do końca wiosny (brak infra-
struktury przechowalniczej z kontrolo-
waną temperaturą, wilgotnością). Nie-
wystarczający poziom przechowalnict-
wa powoduje, że producenci są zmu-
szeni relatywnie szybko sprzedać swo-
je zbiory, aby mieć pewność, że nie na-
stąpi znaczne pogorszenie ich jakości
wraz z upływem czasu. W konsekwen-
cji niemal w każdym roku występuje pe-
wien niedobór surowca w okresie póź-
nej wiosny – mówi Maniak.

Nie jest to lawina, ale pierwszy kru-
szący głaz. Polskie ziemniaki cierpią
na suszę, nie mamy ich gdzie przecho-
wywać. A gdy na półkę raz trafi tani to-
war z zagranicy, trudno go wyrugować.
– Wydaje się, że mleko się rozlało. Pol-
skiego ziemniaka dotknęła fala globali-
zacji – mówi Wojciech Nowacki. ●



Wyciąg z ogłoszenia o przetargu
PREZYDENT MIASTA SOSNOWCA
ogłasza
ustny przetarg nieograniczony

na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej, stanowiącej własność Gminy Sosnowiec, położonej w Sosnowcu przy ul. R. Traugutta, oznaczonej geodezyjnie jako działka nr 22, obręb 0012 Sosnowiec, zapisana w księdze wieczystej nr KA1S/00067962/7 oraz działka nr 21/1, obręb 0012 Sosnowiec, zapisana w księdze wieczystej nr KA1S/00042179/0, o powierzchni łącznej 2960 m2. Zgodnie z zapisami obowiązującego miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego (uchwała nr 957/LXX/2018 Rady Miejskiej w Sosnowcu z dnia 25.10.2018 r.) nieruchomość jest przeznaczona pod tereny zabudowy mieszkaniowej niskiej intensywności i usług podstawowych (symbol KK.20 MU).

- Cena wywoławcza do przetargu wynosi: 845.000,00 zł (*słownie: osiemset czterdzieści pięć tysięcy złotych*). Do zaoferowanej ceny zostanie doliczony należny podatek VAT, według stawki obowiązującej na dzień zbycia nieruchomości. Na dzień ogłoszenia przetargu obowiązująca stawka VAT wynikająca z ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (tekst jednolity Dz. U. z 2022 r., poz. 931 z późn. zm.) wynosi 23%.
- Przetarg odbędzie się w dniu 6.10.2023 r. o godz. 9.30 w Urzędzie Miejskim w Sosnowcu, al. Zwycięstwa 20, w sali 307, II piętro.
- Wysokość wadium wynosi: 85.000,00 zł (*słownie: osiemdziesiąt pięć tysięcy złotych*).
- Ogłoszenie o przetargu zostało wywieszone na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Sosnowcu przy al. Zwycięstwa 20, a także opublikowane na stronie internetowej pod adresem: bip.um.sosnowiec.pl w zakładce Nieruchomości/Przetargi oraz na stronie www.sosnowiec.pl.
- Szczegółowe informacje o przetargu można uzyskać w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Sosnowcu, ul. I. Mościckiego 14, pokój 419, IV piętro, tel. 32 296 06 68.

OGŁOSZENIE 34264783

W Sądzie Rejonowym Poznań-Grunwald i Jeżyce w Poznaniu w I Wydziale Cywilnym toczy się sprawa o sygn. akt I Ns 538/22

o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Kazimierzu Dopierale, zmarłym w dniu 7 marca 2022 r.

w Poznaniu, a mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Poznaniu.

Z posiadanych informacji wynika, że spadkodawca był murarzem i pozostawił po sobie majątek w postaci udziału w nieruchomości oraz środków pieniężnych. Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Zdzisławie Kazimierzu Dopierale, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego Poznań-Grunwald i Jeżyce w Poznaniu do sprawy o sygn. akt I Ns 538/22 i udowodnili swe prawa do spadku po wskazanym spadkodawcy, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

OGŁOSZENIE 34266217

W Sądzie Rejonowym Poznań – Stare Miasto w Poznaniu Wydział VII Cywilny pod sygnaturą VII Ns 114/18 toczy się postępowanie z wniosku Roberta Panowicza o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Stefanie Panowiczu, zmarłym w dniu 11 stycznia 2018r. w Łopuchowie, ostatnio stale zamieszkałym w Łopuchowie.

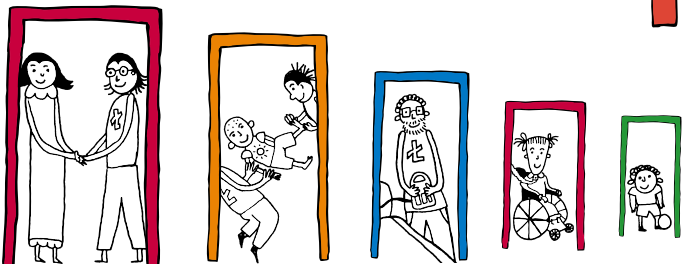
Sąd wzywa zainteresowanych, tj. spadkobierców Henryka Panowicza, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym Poznań – Stare Miasto w Poznaniu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

OGŁOSZENIE 34266229

TAM, GDZIE CZUJĄ SIĘ NAJLEPIEJ

HOSPICJUM
ŁUPKOWA



15% K R S 0000 15 96 89

www.lupkowa.org

OGŁOSZENIE 34235917

Sąd Rejonowy w Zielonej Górze I Wydział Cywilny prowadzi postępowanie o sygn. I Ns 195/23 - stwierdzenie nabycia spadku po Bożenie Irenie Sima córce Genowefy i Czesława z domu Matulewicz, zmarłej dnia 11.08.2020 roku w Zielonej Górze, ostatnio stale zamieszkałej w Międzyrzeczu po której pozostał spadek.

Sąd Rejonowy wzywa, aby ewentualni spadkobiercy ustawowi, którzy dotychczas nie biorą udziału w postępowaniu, w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku po w/w, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po w/w spadkodawczyni.

OGŁOSZENIE 34265205

Przed Sądem Rejonowym Poznań - Grunwald i Jeżyce w Poznaniu w sprawie I Ns 169/23 z wniosku Ewy Świło

PROWADZONE JEST POSTĘPOWANIE SPADKOWE po Marianie Świło, synu Bolestawa i Bronistawy, zmarłym 23 października 2022 roku w Poznaniu, gdzie przed śmiercią na stałe zamieszkiwał.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Mariana Świło, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie i wykazali swoje prawa do spadku, albowiem w przeciwnym wypadku mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE 34265226

F.U.W.K. „KONWEKTOR” Sp. z o.o. w Lipnie, 87-600 Lipno, ul. Wojska Polskiego 6

zaprasza uprawnione podmioty do składania ofert na przeprowadzenie badań: jednostkowego i skonsolidowanego sprawozdania finansowego za rok obrotowy 2023 i 2024

Badanie dotyczy spółek:

- F.U.W.K. „KONWEKTOR” sp. z o.o., 87-600 Lipno (jednostka dominująca) krs 0000062793
- TOFAMA S.A., 87-100 Toruń krs 0000058346
- Fabryka Wentylatorów „OWENT” sp. z o.o., 32-300 Olkusz krs 0000317990
- Z.B.M. i A. im. L. Zieleniewskiego w Krakowie S.A., 31-559 Kraków krs 0000159806

Oferta powinna zawierać w szczególności: informacje o firmie, jej kierownictwie i osobach zatrudnionych, sposób, harmonogram i proponowaną cenę za przeprowadzenie

badania uwzględniając wszystkie koszty, jakie musi ponieść oferent.

Pisemne oferty w zabezpieczonej kopercie z napisem: „Oferta badania jednostkowego i skonsolidowanego sprawozdania finansowego” należy składać pod adresem siedziby spółki: F.U.W.K. „KONWEKTOR” Sp. z o.o. 87-600 Lipno, ul. Wojska Polskiego 6, sekretariat Spółki. Spółka zastrzega sobie prawo swobodnego wyboru ofert lub unieważnienia zaproszenia bez podania przyczyn i bez ponoszenia jakichkolwiek skutków prawnych i finansowych.

Dodatkowych informacji udziela Pani Jolanta Żółtowska
Telefon: 54/287-22-34 wewn. 340. lub kom 600 800 973

OGŁOSZENIE 34265130

Niemcy będą budować blok

– **Zamiast odkupywać czyjąś własność państwo powinno wspierać budowę mieszkań.** Ma to tę zaletę, że już po wszystkim na rynku istnieje więcej mieszkań niż w przypadku, w którym państwo po prostu wykupiłoby te, które są. Myślę, że to logiczne – mówi Klara Geywitz, niemiecka ministra mieszkalnictwa, rozwoju miast i budownictwa.

Adriana Rozwadowska*

Spotykamy się w Toruniu, w jednej z cichych uliczek Starego Miasta. Klara Geywitz (SPD) – niemiecka ministra mieszkalnictwa, rozwoju miast i budownictwa w koalicyjnym rządzie SPD, Zielonych i FDP, a prywatnie przyjaciółka kancлера Olafa Scholza – zaskakuje mnie całkiem niezłą znajomością podstaw języka polskiego. Wraca właśnie z wizyty w jednej z podtoruńskich fabryk.

W niemieckiej prasie pisuje się o niej, że miała niezwykłego pecha. Ministrą została w grudniu 2021 roku, tuż po tym, jak koalicyjni partnerzy postawili sobie za cel budowę 400 tys. mieszkań rocznie. Akurat, kiedy Geywitz miała rozpocząć jego realizację, Rosja zaatakowała Ukrainę, mieszkań na niemieckim rynku zaczęły poszukiwać setki tysięcy uchodźców i uchodźczyń, poszybowała inflacja, a ceny materiałów budowlanych eksplodowały.

Ostatecznie w 2022 roku wybudowano niespełna 300 tys. mieszkań, a na ten rok eksperci przewidują tylko 250 tys. Wizyta w Polsce jest z tym związana. W czerwcu br. Geywitz przedstawiła bowiem projekt wspierania budownictwa z drewna. Nie chodzi przy tym o domy jednorodzinne, ale o... bloki mieszkalne. Fabryka MOD 21 [start-up należący do Grupy ERBUD SA – przyp. red.] produkuje moduły z prefabrykatów drewnianych, z których następnie, już w Niemczech, budowane będą domy. Z prefabrykatów buduje się po prostu szybciej. Czy to pomoże dogonić znikający cel? I czy budynki nie spłoną – jak wróżą już komentatorzy w sieci?

ROZMOWA Z
KLARA GEYWITZ

niemiecką ministrami mieszkalnictwa, rozwoju miast i budownictwa

ADRIANA ROZWADOWSKA: „Będą się pięknie palić”. „Szybko znikną”. I cała masa emotikonów przedstawiających płomienie. Kilka dni temu w polskiej prasie pojawiła się informacja, że w Sztokholmie powstanie osiedle zbudowane z drewna. Zacytowałam dwa z tysięcy komentarzy, za to bardzo rezydentywne, bo pozytywnych praktycznie nie było. Pośrednio to pani plany zostały wyśmiane. Co odpowiedziałyby pani polskim internautom?

KLARA GEYWITZ: Porównałabym drewno do rowerów. Pochodzę z małej wioski w Brandenburgii. W czasach NRD z rowerów korzystali właściwie wyłącznie ludzie, których nie stać było na samochód. Dziś rowery są czymś w rodzaju dodatku do dobrego stylu życia. Rowery stały się drogie, wielu mężczyzn ma teraz kolarzówki, w weekendy ubierają się w tę specjalną odzież i jeżdżą po okolicy. I, w jakimś sensie, podobnie jest z drewnem.

W przeszłości z drewna budowano, kiedy brakowało innych materiałów, dziś to

materiał nowoczesny, ekologiczny – magazynuje przecież dwutlenek węgla – a do tego nadaje wnętrsom niezwykle przyjemny klimat. A zatem sceptykom mogę jedynie doradzić, żeby zerknęli, jak wiele zmieniło się w budownictwie w ciągu ostatnich 60 czy 70 lat. Bo te komentarze pokazują, że wciąż mamy wobec konstrukcji drewnianych wiele uprzedzeń.

A co z potencjalnym pożarem?

– W Niemczech bardzo rygorystycznie podchodzimy do ochrony przeciwpożarowej, a w dzisiejszych czasach drewno, z którego potem się buduje, jest produkowane w taki sposób, że zapewnia wysoki poziom tej ochrony – obecnie można z niego wznosić nawet wieżowce, co zresztą dzieje się właśnie w kilku niemieckich miastach. Choćby tegoroczny laureat Niemieckiej Nagrody Budownictwa Drewnianego, budynek mieszkalno-usługowy Buggi 52 z Fryburga – nie tylko piętra, od pierwszego do siódmego, ale też klatki schodowe i szyby windowe w całości powstały drewna.

Czy – cały czas w kontekście pożaru – możemy powiedzieć, że drewno jako budulec jest np. tak samo bezpieczne jak beton? Albo w 80 proc. tak bezpieczne?

– Niemieckie przepisy stanowią, że budynek musi być w stanie opierać się ognio- wi tak długo, jak długo zająć musi bezpieczna i pełna ewakuacja. Z konstrukcyjnego punktu widzenia budowanie z drewna nie stanowi więc żadnego problemu. Mamy przecież wykonane z niego – z tzw. muru pruskiego – budynki, które przetrwały wieki i próbę czasu. Sama mieszkam w domu z 1735 roku i wciąż można zobaczyć w nim belki, które mają już blisko 300 lat.

A więc jest pani w stanie zagwarantować każdemu, kto zamierza właśnie zaciągnąć kredyt na mieszkanie na 30 lat, że jego nowy blok przetrwa do spłaty ostatniej raty? Że drewno nie spróchnieje, nie spłonie, nie zje go robactwo?

– Tak, bez żadnego problemu. Drewno jest bardzo trwałym materiałem i przetrwa dziesięciolecia. W końcu wszystkie te stare drewniane kościoły wciąż mają się bardzo dobrze. Weźmy Świątynię Wang w Karpaczu.

Kolejne dwa komentarze. „Znowu drzewa do wycięcia. Ekologia level hard” oraz „A skąd to drewno? Z laboratorium? Czy z lasów deszczowych?”. A więc: skąd to drewno?

– Najlepiej jest importować drewno z własnego regionu, dzięki temu drogi transportowe są krótsze, a tym samym emisja dwutlenku węgla jest niższa. Powinniśmy natomiast pamiętać, że zdecydowana większość materiałów budowlanych, z których obecnie korzystamy, jest ograniczona, lub że w trakcie ich produkcji wytwarzana jest znaczna ilość dwutlenku węgla.



FOT. SHUTTERSTOCK

Np. kiedy produkujemy beton czy stal, powstaje ogromna ilość CO₂. Jednocześnie złożyła produktów potrzebnych do ich wytworzenia – a więc rudy żelaza, piasku – nie są nieskończone. Oznacza to, że w przypadku tradycyjnych materiałów budowlanych istnieje zagrożenie niedoboru, podczas gdy drewno ma tę zaletę, że odrasta – oczywiście pod warunkiem, że przestrzega się całego cyklu, wciąż zalesia i prowadzi zrównoważoną gospodarkę drewnem. Ale jeśli to robimy, to drewno dodatkowo pomaga nam w walce ze zmianami klimatu, bo magazynuje dwutlenek węgla.

Czy w planach jest współpraca z Polskimi Lasami Państwowymi?

– O tym, skąd pochodzi drewno, decydują poszczególne firmy z niego budujące. A te szukają certyfikowanego drewna nie tylko ze względów ekologicznych, ale także dlatego, że w Niemczech takie drewno cieszy się popularnością. Nikt nie jest zainteresowany wyrębem, ani polskie firmy, ani ktokolwiek w Niemczech.

Przed naszym spotkaniem odwiedziła pani fabrykę MOD 21 pod Toruniem, która już rozpoczęła produkcję. Oglądała pani prefabrykaty, które pojedą do Monachium. Przyzna pani, że prefabrykaty mają bardzo złą reputację.

– Jasne, wiele osób w Niemczech – wiem, że także w Polsce – myśląc o budownictwie seryjnym, nadal ma przed oczami to, co budowało się w latach 70., i nie szczególnie im się to podoba. Dlatego trzeba mówić o tym, że w dzisiejszych czasach budownictwo seryjne może nie tylko być ekologiczne, ale także bardzo piękne i oryginalne.

W ostatnich 50 latach technologia budowlana bardzo ewoluowała. Często nie zdajemy sobie sprawy, że z modułów da się budować w interesujący sposób, ponieważ nawet nie przypuszczamy, że np. znajdujemy się, lub kiedykolwiek byliśmy, w hotelu, który po-

wstał z prefabrykatów. A jeśli chodzi o budownictwo mieszkaniowe, wiele osób myśli wciąż o tzw. wielkiej płycie, która wyglądała zawsze tak samo. Obecnie fasady można dostosować do indywidualnych potrzeb, mieszkania mogą mieć do trzech metrów wysokości, a pokoje być przestronne i bardzo jasne. To coś zupełnie innego niż pół wieku temu, choć nazwa ta sama.

O tym, jak wielkie szkody przynosi budownictwo środowisku, niewiele się mówi. W mediach, w tym w tych społecznościowych, dominuje krytyka ruchu lotniczego, tymczasem to ono odpowiada za blisko 40 proc. emisji dwutlenku węgla. Emisja branży cementowej jest ogromna, z drugiej strony Niemcy są największym w Europie producentem cementu. Tymczasem branża milczy. Boją się pani czy też trwają niejawne rozmowy?

– Cement i beton pozostaną integralną częścią budownictwa, bo nie da się przecież zbudować z drewna autostrady. A wyzwaniem dla przemysłu cementowego jest obniżenie emisji dwutlenku węgla w trakcie produkcji. Jedną z możliwości jest np. zwiększenie udziału betonu pochodzącego z recyklingu, dlatego niedawno odwiedziłam duże przedsiębiorstwo w Bremie, które produkuje nowy beton ze starego gruzu budowlanego.

Nie udało się zbudować zapowiadzianych 400 tys. mieszkań, tymczasem niemiecki rynek mieszkaniowy jest, podobnie jak polski, w kryzysie. W niemieckich mediach dyskutuje się o różnych rozwiązaniach, w tym o wywłaszczeniu firm, które są właścicielami setek tysięcy mieszkań i windują ceny. Sama tylko Vonovia ma ich 0,5 mln. Ale pani jest wywłaszczeniem przeciwna. Dlaczego?

– Zamiast odkupywać czyjąś własność, państwo powinno wspierać budowę mieszkań. Ma to tę zaletę, że już po

i z drewna



wszystkim na rynku istnieje więcej mieszkań niż w przypadku, w którym państwo po prostu wykupiłoby te, które są. Myślę, że to logiczne.

A obowiązujący hamulec cen czynszów, czyli mechanizm zgodnie z którym czynsz za najem nie może wzrosnąć o więcej niż 10 procent w stosunku do średniej ceny na lokalnym rynku? Czy czynsze faktycznie są dzięki niemu niższe, niż byłyby bez niego?

– Tak, bez niego wzrosłyby bardziej. A ponieważ w przeszłości dochodziło już do silnych podwyżek

czynszów, nasz rząd zdecydował się przedłużyć okres jego obowiązywania do 2025 roku. Z mojego punktu widzenia ma to duży sens, bo wiele gospodarstw domowych w Niemczech wydaje na mieszkanie znaczną część dochodów, zwłaszcza ze względu na wzrost cen energii. Dlatego przeprowadziliśmy też reformę, która zwiększyła wysokość dodatku mieszkaniowego [chodzi o „Wohn-geld Plus”, czyli „dodatek mieszkaniowy plus”, który został podwojony i obecnie wynosi przeciętnie 370 euro miesięcznie, zwiększyła się także liczba jego beneficjentów, z ok. 600 tys. do blisko 2 mln].



Cement i beton pozostaną integralną częścią budownictwa, bo nie da się przecież zbudować z drewna autostrady. A wyzwaniem dla przemysłu cementowego jest obniżenie emisji dwutlenku węgla w trakcie produkcji

KLARA GEYWITZ

niemiecka ministra mieszkalnictwa, rozwoju miast i budownictwa

Pytam o „Mietpreisbremse” – rzeczonny hamulec – ponieważ wielu uważa, że takie środki przynoszą efekt przeciwny do zamierzonego. „Jeśli ceny zostaną z góry zablokowane, właścicielom przestanie się opłacać wynajmowanie, bo choćby remonty kosztują. W efekcie mieszkań będzie mniej, a nie więcej” – tłumaczą.

– Przede wszystkim posiadanie pusto stojącego mieszkania jest nieopłacalne i wcale nie poprawia jego stanu. Zawsze trzeba usiłować znaleźć złoty środek. Gdyby wynajmujący nie mieli żadnej możliwości alokacji kosztów modernizacji lub umiarkowanych podwyżek czynszów, w pewnym momencie faktycznie przestałoby im się to opłacać. Właśnie dlatego jestem przeciwna mrożeniu cen czynszów.

Czyli słynnemu berlińskiemu „Mietendeckel”, który miał zakonserwować ceny wynajmu na pięć lat, ale utrzymał się niedługo, bo Federalny Trybunał Konstytucyjny orzekł, że landy nie mogą wprowadzać takich rozwiązań samodzielnie. Dlaczego dokładnie jest mu pani przeciwna?

– Przy naszej dzisiejszej inflacji doprowadziłby do sytuacji, w której właściciele mieszkań przez kilka kolejnych lat traciliby pieniądze, które przecież mieć muszą, żeby móc o mieszkania dbać. Dlatego uważam „Mietpreisbremse” za mechanizm lepszy, ponieważ mówi: jako właściciel masz prawo podnieść czynsz, ale tylko umiarkowanie, tak aby obie strony odniosły korzyści. To ważne, bo – w przeciwieństwie do Polski – w Niemczech niewiele osób posiada własne mieszkanie. Jesteśmy krajem najemców.

Ponad 50 proc. Niemców i Niemek wynajmuje u kogoś, podczas gdy ok. 80 proc. Polaków i Polek mieszka we własnym mieszkaniu lub domu. Dlaczego nie boicie się mieszkać „nie u siebie”, jak by to u nas powiedziano, i co u was raczej nie zostało by zrozumiane?

– W czasach NRD brakowało materiałów budowlanych, stąd budowa własnego domu nie była atrakcyjna ekonomicznie, do tego była bardzo skomplikowana. Wielu ludzi wolalo więc wprowadzać się do mieszkań budowanych przez państwo, te dodatkowo były bardzo tanie.

Do tego Niemcy są od dziesięcioleci krajem imigracyjnym. Osoby, które przybyły do Niemiec z innych państw, często oszczędzały zarobione pieniądze, żeby na starość zbudować dom w swojej starej ojczyźnie – i stąd nie budowały domu, ani nie kupowały mieszkania. Wreszcie istnieją w Niemczech obszary, gdzie jest tak drogo, że wielu na zakup po prostu nie może sobie pozwolić.

Jest w Polsce taki często powtarzany slogan „Mieszkanie prawem, nie towarem”. Ale bywa on też wyśmiewany jako niedorzeczność. Zgadza się z nim pani, czy raczej uważa, że to przesada?

– Mieszkanie jest prawem człowieka, a z zasady państwa opiekuńczego – która jest zapisana w konstytucji – wynika, że państwo nie może być obojętne na to, czy ktoś ma swój dom, czy go nie ma, ponieważ dom nie jest towarem. Nie można pozostawić tego całkowicie logice wolnorynkowej. Jeśli jakiś towar jest zbyt drogi, np. ten stojący tutaj volkswagen, można zdecydować się na zakup auta albo przeciwko temu zakupowi – i chodzić pieszo albo jeździć autobusem. Jeśli ktoś uważa, że w tym roku kiwi za mocno podro-

żało, może podjąć decyzję i nie kupować już kiwi, tylko jabłka. Ale przecież nikt nie podejmuje decyzji, czy chce mieć gdzie mieszkać czy nie, każdy jest zdany na znalezienie mieszkania. I dlatego jest dobrze, kiedy nie traktuje się mieszkań jak każdego innego towaru.

Burzę w niemieckich mediach wywołała pani wypowiedź na temat domów jednorodzinnych. Została pani oskarżona w mediach o „odbieranie ludziom marzeń” czy „dzieciństwa dzieciom”. Zamierza pani podjąć działania legislacyjne w celu ograniczenia liczby nowo budowanych domów jednorodzinnych?

– Nie zamierzam. Tym, co wtedy powiedziałam, było, że z matematycznego punktu widzenia nie da się budować domów co pokolenie, obok domów poprzedniego pokolenia. To nie jest stwierdzenie polityczne, tylko kwestia przestrzeni, która jest przecież skończona.

Zazwyczaj ludzie budują dom, kiedy na świat przychodzą ich dzieci. Taki dom ma np. 120 czy 150 m kw. i mieszka w nim pięć osób, jest pełen. Ale któregoś dnia dzieci się wyprowadzają, a seniorzy zaczynają wymagać pomocy. Tym, z czym wciąż nie radzimy sobie w Niemczech zbyt dobrze, są mieszkania dostosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych w taki sposób, aby ta starsza już para mogła się do niego wyprowadzić na jesień życia, nie musiała utrzymywać dużego domu i ogromnego ogrodu, a nowa rodzina mogła wprowadzić się do domu, który już istnieje. Sugerowałam, aby ludzie już na etapie budowy zastanowili się, czy taki dom da się w razie potrzeby podzielić na mniejsze mieszkania. Albo żeby miasta – planując nowe osiedla domów jednorodzinnych – myślały również o mieszkaniach dla seniorów w bliskim sąsiedztwie i nie dopuszczały do powstawania monostruktur.

Po co więc ta wypowiedź, skoro nie planuje pani żadnych działań? Mogła być matematyczna, ale z pewnością miała jakiś wpływ na poparcie polityczne, a pani – jako wytrawna polityk – musiała mieć tego świadomość?

– Siedzimy teraz w centrum Torunia, wokół spacerują turyści. Przyjeżdżają tu, bo Toruń jest pięknym miastem. Kiedy się rozejrzymy, nie zobaczymy tu domów jednorodzinnych. Historyczne europejskie miasta – choćby Kraków, ale także Warszawa – są gęsto zabudowane, i to właśnie czyni je pięknymi. Dlatego kiedy rozmawiamy o tym, ile przestrzeni wykorzystujemy, budując nasze miasta, nie uważam wcale, żebyśmy musieli z czegoś rezygnować.

Musimy stawiać sobie dziś trudne pytania. Ile dwutlenku węgla zużywamy do produkcji żywności czy ogrzewania naszych domów? Jakimi środkami transportu się poruszamy? Czy wszyscy chcemy wciąż stać w korkach, czy też może ułatwimy trochę życie rowerzystom? Wczoraj byłam w Warszawie, zaskoczyła mnie liczba rowerzystów na drogach, 15 lat temu należeli do rzadkości.

Mając na uwadze zmianę klimatu, musimy robić wiele rzeczy inaczej. Ale nie oznacza to wcale, że nasza sytuacja się pogorszy, po prostu być może czasami będziemy musieli spojrzeć wstecz. Choć faktycznie to niewygodne dyskusje. Po prostu ich nie unikniemy. To też dobrze. ●

Rozmawiała **Adriana Rozwadowska,** współpraca **M.Szulc**

Uchodźcy

Skąd przyjdą nowi sąsiedzi

W ciągu najbliższych dwóch lat liczba osób przesiedlonych z 26 najbardziej nie-szczęśliwych państw przekroczy 100 mln.

Alicja Gadomska
grafika Paweł Lubowicz

Tylko od początku 2023 roku na granicy z Białorusią otrzymaliśmy prośby o pomoc od 4985 osób, które starały się przedostać do Polski – opowiada Aleksandra Gulińska z Grupy Granica. – Pomocy udzieliliśmy ponad 2 tys., wśród nich było 104 małoletnich, w tym 63 małoletnich bez opieki... Skąd pochodzili? Głównie z Syrii, Jemenu, Somalii, Sudanu i Sudanu Płd., Afganistanu, Iraku, Erytrei, Indii, Konga i Demokratycznej Republiki Konga.

Grupa Granica podkreśla, że „osoby, którym udziela pomocy, uciekają z krajów, w których od lat trwają kryzysy, konflikty i głód, uciekają przed prześladowaniami i rażącymi naruszeniami praw człowieka. Niektóre są w swoich krajach prześladowane ze względu na orientację seksualną lub działalność polityczną”. „Osoby, których wolności są w taki sposób ograniczane, mają prawo do tego, aby poszukiwać bezpieczeństwa gdzie indziej” – oceniają członkowie organizacji i ostrzegają, że brak działań będzie prowadził do eskalacji przemocy i kolejnych ofiar.

Wysoką liczbę osób przedostających się do Polski i szukających w niej czy ogólnie w Europie schronienia notuje też Urząd ds. Cudzoziemców. W 2022 roku wpłynęło blisko 10 tys. wniosków o ochronę międzynarodową. Składali je głównie obywatele Białorusi (ponad 3 tys.), Rosji (ponad 2 tys.), Ukrainy (1,2 tys.), ale też Iraku czy Afganistanu.

W roku 2023 urząd otrzymał wnioski jedynie od 2,3 tys. osób. Największą grupę w tym zakresie stanowili obywatele Białorusi. Liczba osób ubiegających się o azyl byłaby wyższa, gdyby nie stosowana przez polskie służby praktyka pushbacków wobec osób, które przedostają się na teren Polski z Białorusi. Rząd konsekwentnie traktuje próby przekroczenia granicy jako hybrydowy atak ze strony Białorusi, choć na granicy zmarło już kilkadziesiąt osób.

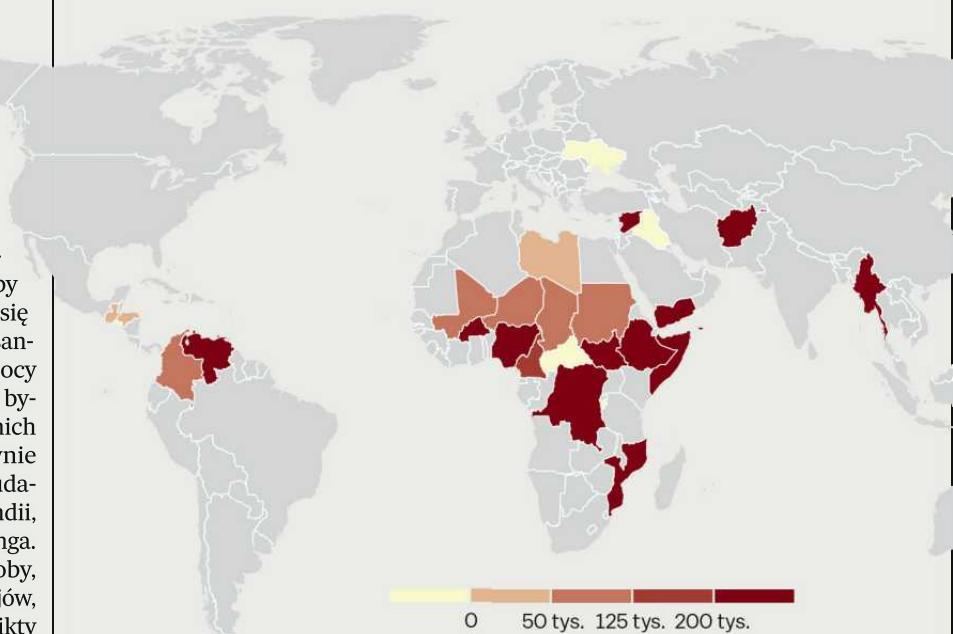
W całej Europie w 2022 roku ponad 800 tys. osób ubiegało się o azyl po raz pierwszy – to wzrost o 344 tys. (czyli 64 proc.) osób w porównaniu z rokiem poprzednim. Grupę tę najliczniej reprezentowali obywatele Syrii, Afganistanu i Wenezueli.

Z danych UNHCR wynika, że w skali świata liczba osób przesiedlonych systematycznie wzrasta, w 2022 roku przekroczyła 108 mln, z czego 62,5 mln stanowiły osoby przesiedlone wewnętrznie, ponad 35 mln – uchodźcy, blisko 5,5 mln – osoby ubiegające się o azyl, a ponad 5 mln – osoby potrzebujące ochrony międzynarodowej (znajdujące się poza swoim krajem lub terytorium pochodzenia, zazwyczaj dlatego, że zostały przymusowo przesiedlone, ale nie zostały zgłoszone jako osoby ubiegające się o azyl lub uchodźcy). Specjaliści przewidują, że liczby te będą dalej wzrastać.

Autorzy raportu jednej z większych organizacji zajmujących się pomocą osobom przymusowo przesiedlonym – Danish Refugee Council (DRC) – przeanalizowali sytuację w 26 państwach świata, których

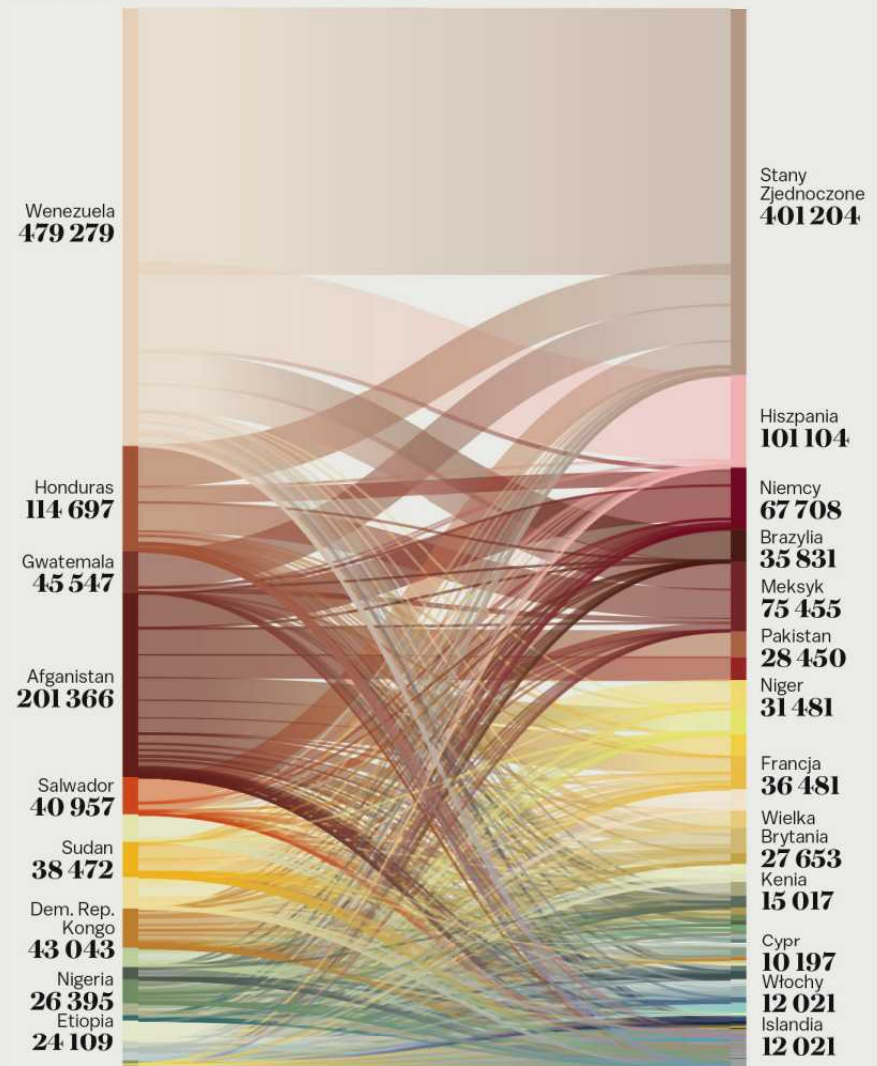
Liczba osób przymusowo przesiedlonych będzie wzrastać

Przewidywana zmiana l. osób przymusowo przesiedlonych (wewnętrznie lub poza granice kraju), między rokiem 2024 a 2022. Dane dla 26 państw, w których trwają lub rozwijają się kryzysy związane z wysiedleniami i które odpowiadają za około 92 proc. wszystkich globalnych wysiedleń.



W 2022 r. najwięcej wniosków o azyl złożyli obywatele Wenezueli

Liczba wniosków o azyl złożona przez obywateli 26 krajów, odpowiadających za 92 proc. przesiedleń na świecie.



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: UNHCR

mieszkańcy najczęściej zmuszeni są do migracji. Z krajów tych pochodzi w sumie 92 proc. osób przesiedlonych. Należą do nich Ukraina, Mjanma, Afganistan, Burkina Faso, Kamerun, Czad, Mali, Republika Środkowoafrykańska, Niger, Nigeria, Irak, Libia, Syria, Jemen, Burundi, DR Konga, Etiopia, Mozambik, Somalia, Sudan Południowy, Sudan, Kolumbia, Gwatemala, Honduras oraz Wenezuela.

Przewidują, że w ciągu najbliższych dwóch lat liczba osób przesiedlonych, po-

chodzących ze wspomnianych 26 państw, wzrośnie o kolejne ok. 5,4 mln, a tym samym przekroczy liczbę 100 mln i będzie blisko dwukrotnie wyższa niż w roku 2015. Znakomitą większość przymusowych migrantów będą co prawda stanowić osoby przesiedlone wewnętrznie – pozostające w granicach swego kraju, lecz część uciekających ruszy dalej, do sąsiednich krajów czy nawet na odległe kontynenty. Jednocześnie, jak ostrzega OCHA, wśród ludzi zamieszkujących wspomniane

26 państw blisko 260 mln będzie potrzebowało pomocy humanitarnej. W skali świata liczba potrzebujących może sięgnąć blisko 340 mln.

Starania Europy o uszczelnienie granic nie rozwiążą globalnego problemu i prawdopodobnie przyniosą tylko więcej ofiar nieudanych przepraw. Jak zauważają eksperci z DRC, bez wsparcia finansowego, które pozwoli zacząć się podstawowymi przyczynami konfliktów i wysiedleń, kryzysy migracyjne nie zostaną rozwiązane.

Badacze podkreślają, że większość tych miejsc stoi w obliczu kryzysu rządów, sytuacja w nich jest niestabilna, trwają konflikty i przemoc wobec ludności cywilnej.

Problemy te potęguje narażenie na skutki zmian klimatu i degradację ekologiczną. Tylko w 2022 roku w badanych krajach o 28 proc. wzrosła liczba incydentów przemocy wobec ludności cywilnej, a o 5 proc. incydentów związanych z działaniami zbrojnymi. Jednocześnie kolejne regiony Afryki nawiedzały rekordowe susze i powodzie.

Intensywniejszy napływ cudzoziemców do Polski potwierdzają też dane dostarczane przez ZUS. I chodzi tu nie tylko o osoby przybywające z ogarniętej wojną sąsiedniej Ukrainy, a także o migrantów zarobkowych. W sumie liczba cudzoziemców pracujących w Polsce i ich rodzin podlegających ubezpieczeniu społecznym w Polsce wzrosła z 184,2 tys. w grudniu 2015 r. do ponad miliona osób na koniec marca roku 2023. Zawdzięczamy to m.in. polskim przepisom umożliwiającym stosunkowo łatwo uzyskać pozwolenie na pobyt pracowniczy w kraju.

W 2022 r. krajowi urzędnicy wydali obcokrajowcom ponad 360 tys. pozwoleń na pracę. „Biorąc pod uwagę potrzeby kadrowe, to i tak nadal zbyt mało obcokrajowców zaczyna zarabiać w Polsce. Tylko na koniec IV kwartału liczba nieobsadzonych miejsc pracy wynosiła 115,7 tys., a nowo utworzonych etatów było o 32,3 tys. więcej niż zlikwidowanych” – podaje portal Infor.pl.

Pracę w Polsce podejmują mieszkańcy krajów sąsiednich - Ukrainy, Białorusi, ale też Azji. W ubiegłym roku wzrosła liczba pracowników z Gruzji, systematycznie rośnie liczba pracowników z Nepalu, Bangladeszu oraz Indii.

Pośród pracowników spoza Unii, po obywatelach Ukrainy i Białorusi, to obywatele Indii stanowią jedną z najbardziej licznych grup pracowników w Polsce. Opuszczają oni kraj głównie w celach zarobkowych. Jak podkreślają naukowcy, w Indiach stopa życia mieszkańców jest bardzo zróżnicowana, „ponad 90 proc. siły roboczej w Indiach jest zaangażowane w nieformalny rynek, a pracownicy, którzy wyjeżdżają za granicę, mogą odnotować wielokrotny wzrost wynagrodzeń”. Emigranci zarobkowi bardzo licznie zasilają finansowo pozostające w kraju rodziny - „szacuje się, że w 2021 r. przekazali oni do kraju ok. 87 mld dol., co stanowiło największy na świecie tego typu przepływ i zarazem 15 proc. wszystkich globalnych transferów do krajów o niskim i średnim dochodzie”. ●

Czytaj więcej na [BIQdata.pl](https://biqdata.pl)

Burmistrz Miękinia

informuje, że w dniu **26 września 2023 r. o godz. 10:00** w **Sali widowiskowej Samorządowego Ośrodka Kultury w Miękinii, przy ul. Kościuszki 43**, odbędzie się pierwszy przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż dz. nr **64/1 obręb Wróblowice** o pow. **0,0,2517 ha**, KW Nr WR1S/00001776/4.

Cena wywoławcza netto: **449 600 zł**, wadium **45 000 zł**.

Do ustalonej w wyniku przetargu ceny zostanie doliczony, wg obowiązujących przepisów podatek VAT (obecna stawka VAT wynosi 23%).

Zgodnie z mpzp teren działki przeznaczony jest pod zabudowę mieszkaniową jednorodzinną i usługową.

Ogłoszenie o przetargu zostanie podane do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Miękinii, ponadto zostanie opublikowane na stronie internetowej Urzędu www.miekinia.pl, a także w Biuletynie Informacji Publicznej: www.bip.miekinia.pl.

Szczegółowe informacje o działce można uzyskać w Urzędzie Miejskim w Miękinii ul. Kościuszki 41 lub pod numerem telefonu 71 735 92 58, a także na stronie <https://miekinia.e-geoportal.pl> lub <https://sredzki.webewid.pl/e-uslugi/portal-mapowy>.

34265374



APLIKACJA
WYBORCZEJ

Wygodnie
i zawsze
pod ręką



34265556

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość, że zmarł



adw. Jerzy Zięba

Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Kielcach

Zaangażowany w życie samorządu adwokackiego - wieloletni delegat na Krajowe Zjazdy Adwokatury, pełnił funkcję członka Prezydium Naczelnej Rady Adwokackiej w latach 2013-2016.

Związany z kieleckim samorządem adwokackim, był twórcą i redaktorem naczelnym kwartalnika „Palestra Świętokrzyska” oraz członkiem Kolegium Redakcyjnego czasopisma Adwokatury Polskiej „Palestra”.

Miłośnik sportu, propagator sportowej integracji w Adwokaturze.

Uhonorowany odznaką Adwokatura Zasłużonym w 2008 r.

Przyjaciel Wielkopolskiej Izby Adwokackiej.

Cześć Jego pamięci !

Rodzinie oraz Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia

Dziekan oraz Adwokaci z Wielkopolskiej Izby Adwokackiej

www.nekrologi.wyborcza.pl/34265428



Vistal Offshore
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością
w restrukturyzacji

– informuje o wszczęciu publicznego przetargu
na najem nieruchomości produkcyjnej
na obszarze Portu Gdynia.

Oddany do eksploatacji w 2014 roku zakład
jest przystosowany do produkcji konstrukcji stalowych,
wież wiatrowych, mostów czy statków pełnomorskich.
Do dyspozycji jest powierzchnia 3,3 ha terenu
z dostępem do nabrzeża portowego,
infrastruktury drogowej oraz kolejowej.

Nieruchomość wyposażona jest:

- w jedną z najnowocześniejszych hal w Polsce o powierzchni produkcyjnej **12 000 m2 i wysokości 34 m**,
- **10 suwnic – od 20 do 100 ton** z możliwością podniesienia jednostkowego ciężaru **do 200 ton**,
- ciąg antykorozyjny o powierzchni **2 tys. m2** (komora śrutowania; komora malarska),
- 5-kondygnacyjny budynek administracyjno-socjalny,
- plac montażowy **15 000 m2**,
- udźwigowioną bocznicę kolejową,
- instalację gazów technicznych,
- stanowisko umożliwiające załadunek ciężkich konstrukcji stalowych **do 8 tys. ton**,
- linię energetyczną **5,4 MW**.

Osobami właściwymi do kontaktu z potencjalnymi kontrahentami są:
Zarządca Sądowy Vistal Offshore Sp. z o.o. - Maciej Głowacki
Kontakt: maciej.glowacki@syndyk-24.pl

Dyrektor Zarządzania Majątkiem i Infrastrukturą - Marcin Janik
Kontakt: m.janik@voff.pl | +48 512 373 125

Oferty należy składać na adres:
Vistal Offshore Sp. z o.o. w restrukturyzacji
ul. Indyjska 7, 81-336 Gdynia

Zapytania celem uzyskania warunków regulaminowych przetargu
oraz projektu umowy należy składać na adres e-mail:
m.janik@voff.pl

Vistal Offshore Sp. z o.o. w restrukturyzacji zastrzega sobie prawo
do unieważnienia ogłoszenia bez podania przyczyny.



<http://voff.pl>



34264749

„Im droższy człowiek, tym większy ból
Rozłąka jest naszym losem, spotkanie nadzieją”

Z głębokim smutkiem i żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci



lek. med.

Krzysztofa Olbromskiego

naszego wieloletniego Dyrektora,
którego wspominąć będziemy jako
Człowieka serdecznego i życzliwego,
Lekarza o szlachetnym sercu,
w pełni oddanego krwiodawcom.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

składają

Dyrekcja i Pracownicy
Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecztwa
w Poznaniu

Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie we wtorek
25 lipca 2023 roku o godzinie 12.00 w kościele
parafialnym pw. św. Jana Vianneya.
Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się tego samego dnia
o godz. 13.00 na cmentarzu parafialnym Parafii
Rzymskokatolickiej pw. św. Jana Vianneya w Poznaniu
przy ul. Szczawnickiej /Lutyckiej.

www.nekrologi.wyborcza.pl/34265219

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość, że w dniu 20 lipca 2023 r. zmarł



Adwokat Jerzy Zięba

Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Kielcach

Odszedł człowiek o wielkim sercu i charyzmie,
wybitny adwokat,
oddany Adwokaturze i jej ideałom

Żonie i Najbliższym

składamy najszczerze wyrazy współczucia

Cześć Jego Pamięci

składają

Adw. Joanna Kaczorowska
Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Płocku,
Członkowie Okręgowej Rady Adwokackiej w Płocku
oraz adwokaci Izby Adwokackiej w Płocku

www.nekrologi.wyborcza.pl/34265319



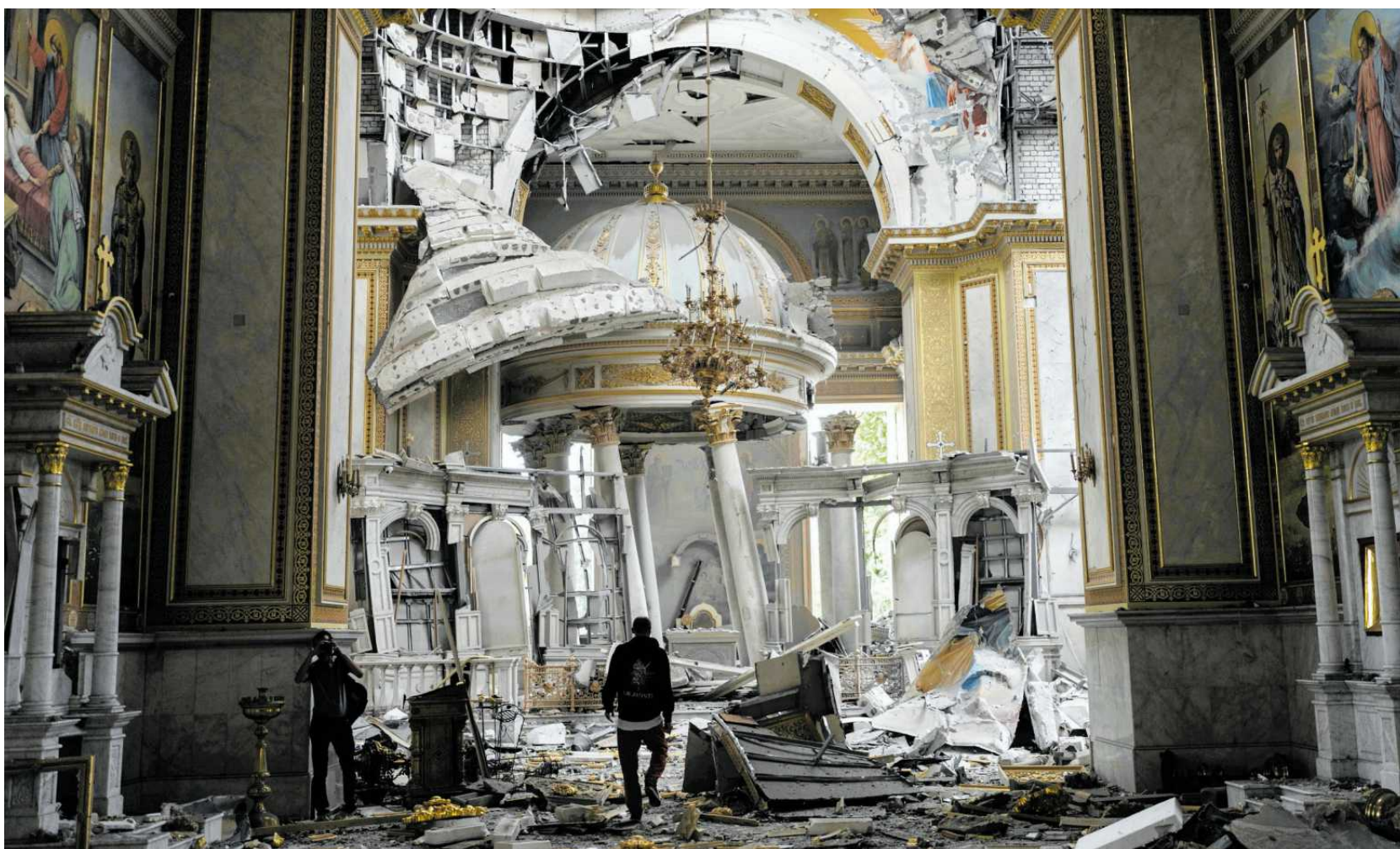
WSPOMNIENIA.WYBORCZA.PL

Umieść wspomnienia o Twoim bliskim,
dodaj zdjęcie – niech pamięć trwa

**W KAŻDY WTOREK
Z „WYBORCZĄ”**

wyborcza
MÓJBIZNES

34265516



• **Zniszczony budynek Soboru Przemienienia Pańskiego w Odessie**

FOT. JAE C. HONG / AP

Piotr Andrusieczko

KORESPONDENCJA Z KIJOWA

Alarm przeciwlotniczy na południu Ukrainy ogłoszono po północy. Na miasto pociśki manewrujące odpaliły rosyjskie bombowce Tu-22M3, a także prawdopodobnie łódź podwodna z Morza Czarnego oraz wyrzutnie rakiet z Krymu. Mieszkańcy Odessy przez co najmniej dwadzieścia minut słyszeli głośnie eksplozje.

Według ukraińskich mediów był to największy od początku rosyjskiej agresji atak rakietowy na centrum miasta. W jego wyniku zginęła jedna osoba, a 22 zostały ranne, w tym czworo dzieci. Uszkodzeniu uległa infrastruktura portowa oraz co najmniej sześć budynków w centrum miasta.

Zamach na „duchowe serce” Odessy

W styczniu stare miasto Odessy wpisano na listę światowego dziedzictwa i światowego dziedzictwa w zagrożeniu UNESCO. Według administracji wojskowej obwodu odeskiego uszkodzono łącznie 25 zabytkowych budynków. Praktycznie zniszczona została również największa cerkiew w Odessie – Sobór Spaso-Preobrażeński, który jest katedrą eparchii odeskiej Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego.

Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego oskarżany jest w Ukrainie o prorosyjską orientację.

„Oprócz znacznych zniszczeń budowli ucierpiały także relikwie: spod gruzów wydobyto ikonę Matki Bożej Kasperowa, która jest patronką Odessy” – poinformowały władze Odessy.

Sobór Przemienienia Pańskiego zbudowano w XVIII w., ale został zniszczony przez władze radzieckie w latach 30. ubiegłego wieku. Cerkiew odbudowano już w niepodległej Ukrainie, a w 2010 r. osobiście poświęcił ją zwierzchnik Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Cyryl I.

„Rosyjska rakietą trafiła bezpośrednio w ołtarz główny, w wyniku czego częściowo zniszczony został budynek katedry, stropy trzech dolnych kondygnacji, znacznie uszkodzony został wystrój wnętrz i ikony, a pomieszczenia biurowe dolnej części katedry zostały całkowicie zniszczone” – napisano w oświadczeniu wydanym przez Patriarchat Moskiewski.

Odeska eparchia Patriarchatu Moskiewskiego potępiła rosyjski atak. „To zamach

Rosja niszczy światowe dziedzictwo

W niedzielę w nocy rosyjskie rakiety spadły na znajdujące się pod ochroną UNESCO historyczne centrum Odessy. Rosja już od tygodnia niemal codziennie atakuje rakietami największe portowe miasto Ukrainy.

terrorystyczny przeciw głównej świątyni i duchowemu sercu Odessy” – oświadczyła.

Atakują, czym mogą

W sumie na Odessę spadło 19 pocisków rakietowych różnego typu. Trzy pociski Ch-22 odpalono z bombowców operujących nad Morzem Czarnym, cztery pociski Kaliber wystrzelono prawdopodobnie z łodzi podwodnej. Z kolei z półwyspu krymskiego wystrzelono pięć pocisków przeciwokrętowych Oniks, pięć pocisków manewrujących Iskander-K oraz dwie rakiet balistyczne Iskander-M.

Ukraińskiej obronie przeciwlotniczej udało się zestrzelić tylko dziewięć rakiet: wszystkie Kalibry i Iskander-K. Pociski balistyczne i naddźwiękowe są trudnym celem i większość systemów przeciwlotniczych, będących na uzbrojeniu Ukrainy, nie jest w stanie ich zniszczyć.

Przykładem są przeciwokrętowe pociski manewrujące Oniks, wystrzeliwane z baterii naziemnych na Krymie. Podstawowa rakietka tego typu jest zdolna przenosić trzystukilogramową głowicę na odległość 300 km i leci z prędkością ponad 3 tys. km na godzinę. Ostatnia faza lotu odbywa się nisko nad powierzchnią wody – ok. 10-15 m, co bardzo utrudnia jej wykrycie. Specjaliści z ukraińskiego wydania „Defence Express” wskazują, że radar podstawowego poradzieckiego systemu obrony przeciwlotni-

czej S-300 jest w stanie zobaczyć taką lecącą rakietę tylko z odległości 21 km. Rakietka Oniks pokonuje ten odcinek w 31 sekund, czyli czasu na reakcję jest bardzo mało.

Pociski (nie)precyzyjne

W rosyjskiej propagandzie Odessa odgrywa szczególną rolę. Założone przez Katarzynę II miasto jest uważane przez Kreml za symbol rosyjskości ukraińskiego południa. Trudno się więc dziwić, że zaraz po ataku czołowi rosyjscy propagandziści, jak Olga Skabajewa i Władimir Sołowjow, obarczyli winą za zniszczenia w centrum Odessy ukraińską obronę przeciwlotniczą.

Ukraiński ekspert z grupy Informacyjny Sprzeciw Oлександр Kowalenko zwraca uwagę na niską celność części rosyjskich pocisków. Chodzi zwłaszcza o stare radzieckie rakietki Ch-22, które pierwotnie miały służyć do ataku na du-

że cele morskie – jej odchylenie od celu może wynosić 500-600 m. W styczniu jedna z takich rakiet trafiła w blok mieszkalny w Dnieprze, zabijając 46 osób i raniąc 80. Według ekspertów rosyjska rakietka odchyliła się od pierwotnego celu na odległość 2 km.

Do tego, zdaniem Kowalenki, nawet nowsze rosyjskie pociski rakietowe są obecnie montowane z naruszeniem norm i ich jakość jest znacznie gorsza, co może powodować znaczne zmniejszenie ich precyzyjności.

Odwet za most Krymski

W ostatnim tygodniu Rosja niemal każdej nocy bombarduje Odessę.

W nocy 18 lipca rosyjskie drony i pociski rakietowe falami atakowały miasto. Większość udało się zniszczyć obronie przeciwlotniczej. Ale uszkodzeniu uległa infrastruktura portowa służąca do eksportu produktów rolnych oraz prywatne domy. W porcie w Czarnomorsku pod Odessą zniszczono 60 tys. ton magazynowanego tam zboża.

Rzecznik prasowy Kremla Dmitrij Pieskow nazwał wówczas atak na Odessę zemstą za ostatni ukraiński atak na most Krymski.

Rosyjska odpłata nie ograniczyła się do jednego uderzenia. W kolejnych nocach zmasowane ataki dronowo-rakietowe się powtarzały. W piątek trzy kalibry spadły na przedsiębiorstwo rolne w obwodzie odeskim. W jego wyniku zniszczono 120 ton produkcji rolnej. Wyjątkiem była sobota, gdy Rosjanie powstrzymali się od ataków.

Prezydent Wołodymyr Zełenski podkreśla, że do obrony Odessy potrzebne są dodatkowe amerykańskie systemy Patriot albo francusko-włoskie SAMP/T. Według ukraińskich ekspertów obecnie jedynie Kijów jest chroniony przed niemal wszystkimi rodzajami rosyjskich rakiet. Ale przedstawiciele Sił Powietrznych Ukrainy podkreślają, że nawet patrioty nie dają całkowitej gwarancji bezpieczeństwa.

Kijów do Moskwy: pożałujecie

„Pociski przeciwko pokojowym miastom, budynkom mieszkalnym, katedrze... Nie może być żadnego usprawiedliwienia dla rosyjskiego zła. Jak zawsze to zło przegra. I za Odessę rosyjscy terroryści obowiązkowo otrzymają odpowiedź. Oni odczują tę odpowiedź” – napisał Zełenski w Telegramie.

Również sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Oлександр Danilow stwierdził w niedzielę, że na rosyjski atak na Odessę Ukraina „zareaguje w odpowiedni sposób, w pierwszej kolejności przede wszystkim odpowie na zabójstwa i zniszczenia”. ●

Według ukraińskich mediów był to największy od początku rosyjskiej agresji atak rakietowy na centrum miasta

Wielkie protesty w Izraelu

Wielotysięczny marsz ciągnący z Tel Awiwu do Jerozolimy, tysiące rezerwistów grożących, że przestaną stawiać się na służbę, i ostry apel byłych szefów służb bezpieczeństwa – dzień przed ostatecznym głosowaniem nad kontrowersyjną reformą sądownictwa Izraelczycy nie składali broni.

Marta Urzędowska

W weekend do Jerozolimy dotarł „Marsz w obronie demokracji”. Dziesiątki tysięcy demonstrantów wymachujących izraelskimi flagami mimo upałów w ciągu czterech dni pokonało 70 km, by w sobotę dotrzeć pod parlament. Kontynuowali tam protest przeciwko forsowanej przez skrajnie prawicowy rząd reformie sądownictwa.

Ogromne protesty zorganizowano w sobotę też w innych miastach – w samym Tel Awiwie, jak szacują izraelskie media, na ulice wyszło ok. 100 tys. demonstrantów. Protestowali także mieszkańcy Hajfy i Beer Szewy.

Szefowie służb do premiera: Stop

Protestujący nie są sami – stoi za nimi armia. Już kilkanaście tysięcy rezerwistów, w tym z najbardziej elitarnych jednostek, grozi, że przestaną zgłaszać się na służbę, jeśli rząd nie wycofa się z planów mających odebrać sądowi najwyższemu możliwość wpływania na decyzje polityków.

Do rezerwistów dołączają przedstawiciele najważniejszych służb w kraju. Byli dowódcy armii, Mosadu i Szin Bet, czyli agencji bezpieczeństwa wewnętrznego, w sobotę napisali list do Netanjahu. Gro-

żą w nim, że „obarczą go odpowiedzialnością za osłabienie armii i narażenie bezpieczeństwa Izraela”.

„Ten proces legislacyjny narusza umowę społeczną istniejącą od 75 lat między tysiącami dowódców rezerwy i żołnierzami – napisali w apelu. – Pokazujemy dziś panu wyraźny, czerwony znak stopu, który stawiamy przed panem i pańskim rządem” – dodają.

Także rzecznik armii, adm. Daniel Hagari, w zaskakująco ostrym oświadczeniu obwieścił w ostatni piątek, że „spójność izraelskiej armii została zniszczona, a jej naprawa zajmie długi czas”.

Izraelczycy mają powody do niepokoju. Reforma, którą rząd forsuje od miesięcy, a która ostatecznie ma być przegłosowana dzisiaj, zakłada likwidację tzw. klauzuli racjonalności, która pozwalała sędziom sądu najwyższego unieważniać wyjątkowo kontrowersyjne decyzje rządu. Tak właśnie się stało kilka miesięcy temu, kiedy premier Beniamin Netanjahu próbował wprowadzić do rządu polityka skazanego za oszustwa.

Netanjahu prze do reformy

Rząd dąży do zmian od początku roku, choć teraz chce je przepchnąć w okrojonym kształcie. Wcześniej, poza likwidacją niewygodnej dla po-



• **Dziesiątki tysięcy uczestników „Marszu w obronie demokracji” w ciągu czterech dni pokonało 70 km** FOT. OHAD ZWIGENBERG / AP

Protestujący nie są sami – stoi za nimi armia

lityków klauzuli, reforma przewidywała też zmianę składu komisji wybierającej sędziów sądu najwyższego. Zamiast ekspertów od prawa przewagę mieli w niej zyskać politycy.

W marcu premier wstrzymał forsowanie zmian w parlamencie pod naciskiem ogromnych protestów i strajku generalnego ogłoszonego, gdy zagroził, że zwolni ministra, który skrytykował reformę. Netanjahu zapowiedział wtedy, że zawieszenie prac nad ustawą jest chwilowe.

Od tego czasu nie udało mu się porozumieć z opozycją w kwestii wypracowania kompromisu dotyczącego reformy. Mimo to ponownie prze do decydującego głosowania. A to planowane jest na najbliższy poniedziałek, dlatego protesty w ten weekend określane są jako demonstracje ostatniej szansy.

Krytycy rządu ostrzegają, że jeśli uda się przepchnąć pierwszą część reformy, rząd powróci też do forsowania drugiej.

Choć nie wiadomo, jak potoczy się poniedziałkowe głosowanie i czy w ostatniej chwili uda się osiągnąć kompromis, jedno jest pewne – Izrael jest w największym kryzysie od lat. Protesty, z przerwami, trwają od pół roku, a zachodni sojusznicy, w tym USA, nie szczę-

dzą ostrych słów krytyki izraelskiemu rządowi.

Trzymać armię z dala od polityki

W piątek do protestów i gróźb rezerwistów odniósł się minister obrony Yoav Gallant. Jak zapowiedział, „podejmie kroki, by zapewnić Izraelowi bezpieczeństwo”. Wcześniej Kanał 12 izraelskiej telewizji informował, że minister próbuje przekonać kolegów z rządu, by odłożyli zmiany i dalej szukali kompromisu. „Trzeba zapewnić bezpieczeństwo państwa, trzymając armię z dala od politycznych dyskusji” – przekonywał w oświadczeniu. Pojawiły się też doniesienia, że minister może zrezygnować ze stanowiska.

Jednak – jak pisze „Financial Times” – pozostali ministrowie nie chcą dłużej czekać i głosowanie nadal planowane jest na poniedziałek. Minister ds. diaspory Amichai Chikli ostro skrytykował działania wojskowych i nazwał je „próbą wymuszenia”. „Parlament i rząd Izraela nie mogą ugiąć się przed pogroźkami politycznej niesubordynacji” – napisał na Twitterze.

Także skrajnie prawicowy minister ds. bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gewir oskarżył rezerwistów o „branie rządu jako zakładnika i narzucanie mu politycznego stanowiska mniejszości”. „Nie ugniemy się przed tymi niebezpiecznymi próbami siania chaosu” – napisał w oświadczeniu. Głosowania nie zamierza też odpuścić Netanjahu. W sobotę poinformował, że idzie do szpitala, gdzie zostanie mu wstawiony rozrusznik serca. Zapewnił, że wyjdzie w poniedziałek, by wziąć udział w głosowaniu. ●

Pożary na Rodos. Polacy wśród ewakuowanych

Trwa ewakuacja z Rodos, silny wiatr utrudnia gaszenie ognia. Polskie MSZ zapewnia: Pomagamy.

Wśród 30 tys. osób, które ewakuowano z domów i hoteli na Rodos, 2,5 tys. musiało zostać wywiezione z lokalnych plaży promami.

Jak podaje „Guardian”, ewakuowani turyści i miejscowi mieszkańcy spędzili noc z soboty na niedzielę w szkołach, siłowniach i centrach konferencyjnych na wyspie, podczas gdy strażacy nie przestawali walczyć z żywiołem. Ewakuowanych zakwaterowano też na trzech promach pasażerskich zacumowanych w miejscowym porcie.

Greckie MSZ uruchomiło jednostkę kryzysową, która pomaga w transporcie cudzoziemców przebywających na Rodos. Jednocześnie miejscowe władze podkreślają, że ewakuacja dotyczy mniej niż 10 proc. obiektów turystycznych na wyspie.

Pożary, jakie od blisko tygodnia szaleją na popularnej wśród turystów greckiej wyspie, nie słabną, głównie z powodu wiatru. Według prognoz w niedzielę ma wiać jeszcze mocniej, co utrudnia nie tylko gaszenie, ale też ewakuację. Jak informują miejscowe służby, jeszcze ponad 1,2 tys. osób czeka na wywiezienie z niebezpiecznych rejonów.

– To sytuacja bez precedensu na naszej wyspie – przekonuje w roz-

mowie z lokalną telewizją Skai TV Pangiotis Dimelis, szef lokalnej rady w miasteczku Archangelos. Dodaje, że miejscowa ludność robi, co może, by pomagać turystom.

Jak opisuje „Guardian”, w nocy z soboty na niedzielę ogień sięgnął wioski Laerma, gdzie zapaliły się domy i miejscowy kościół, podczas gdy płomienie zniszczyły też wiele hoteli, w tym niektóre stojące nad samym morzem. Według straży pożarnej w tej chwili największe pożary są na południe od wioski Apollon. W sumie w sobotę ewakuowano mieszkańców i turystów z co najmniej sześciu miejscowości.

Władze alarmują, że walka z pożarami, które wybuchły w szczycie

sezonu turystycznego, może potrwać jeszcze co najmniej kilka dni. Na dużej części wyspy są problemy z dostawami prądu – główną elektrownię zamknięto ze względów bezpieczeństwa. Grecką straż pożarną w walce z żywiołem wspierają samoloty gaśnicze. Na pomoc przybiegli też strażacy z Polski i ze Słowacji.

Wśród osób ewakuowanych z niebezpiecznych rejonów są turyści z Polski. Polskie MSZ zapewnia na Twitterze, że ambasada w Grecji uważnie monitoruje pożar na Rodos, i prosi Polaków, by stosowali się do zaleceń służb ratunkowych. Resort podaje też numer, pod który polscy turyści mogą dzwonić, by uzyskać pomoc konsularną.

Wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński zapewnił w oświadczeniu wydanym wczoraj, że „większość obywateli, którzy są w strefie zagrożenia pożarami, już się ewakuowała poprzez biura podróży”. – Na wyspie jest nasza konsul honorowa, która do swojego hotelu przyjęła część tych osób. To się odbywało przez całą noc – wyjaśnił Jabłoński cytowany przez PAP.

Przyznał, że „na miejscu panuje duży chaos, także z uwagi na to, że służby miejscowe też nie przekazywały początkowo informacji turystom”, jednak zapewnił, że MSZ jest z nimi „cały czas w kontakcie”. ●

Marta Urzędowska

Re:RZE
FESTIVAL
SZÓW

28-29
LIPCA

Bulwary nad Wisłokiem

: AGNIESZKA CHYLINSKA

: BEDOES 2115

: GRZEGORZ HYŻY

: T.LOVE

: BŁAŻEJ KRÓL

ORGANIZATORZY:
AGORA.

PARTNER GŁÓWNY:

PARTNER:
ESTRADA RZESZOWSKA

SPONSOR:
PERŁA

PARTNER MERYTORYCZNY:
za'ks

PATRONI MEDIALNE:

BILETY

1 RP OGŁOSZENIE 34258440

eprasa.pl f12f6d8064

Co się stanie z finansami państwa po wyborach

Minister finansów pilnie potrzebny

Nawet posłowie i dziennikarze, którzy komentują polską politykę, nie potrafią bez pomocy Google'a powiedzieć, kto dziś kieruje polskimi finansami

Gadomski



W Ministerstwie Finansów istnieje zwyczaj, że nowy minister wiesza w Sali Portretowej portret swojego poprzednika lub poprzedniczki. Sześć wiszących portretów przedstawia ministrów, którzy sprawowali swój urząd od 2015 roku. Magdalena Rzeczkowska jest siódmym ministrem finansów w rządzie PiS. Jej portret zawiśnie jesienią. Niezależnie od tego, jaki będzie wynik wyborów i kto utworzy nowy rząd, jest mało prawdopodobne, by znalazło się w nim dla niej miejsce. Jej odejście z ministerstwa będzie niemal niezauważalne. Nawet posłowie i dziennikarze, którzy komentują polską politykę, nie potrafią bez pomocy Google'a powiedzieć, kto dziś kieruje polskimi finansami.

W pierwszych rządach III RP ministrowie finansów mieli silną pozycję i często stanowisko wicepremiera. Leszek Balcerowicz, Grzegorz Kołodko czy Marek Belka byli nie księgowymi zarządzającymi dochodami i wydatkami państwa, ale kierownikami polityki gospodarczej i silnymi partnerami szefów rządów. Od ich decyzji zależało, czy pomysły innych ministrów czy polityków rządzących koalicji zostaną wprowadzone w życie. Niespecjalnie przejmowali się popularnością rządu i wspierających go partii. Byli od polityki gospodarczej, a nie od czystej polityki.

Po 2015 roku, gdy powstał rząd Beaty Szydło, a później Mateusza Morawieckiego, pozycja ministra finansów została radykalnie uszczuplona, a osoby sprawujące ten urząd stały się niemal anonimowe. W dodatku samo ministerstwo było kilka razy przekształcane. Jerzy Kwieciński był ministrem finansów, inwestycji i rozwoju, Tadeusz Kościński ministrem finansów, funduszy i polityki regionalnej. Czterokrotnie formalnym kierownikiem Ministerstwa Finansów był Mateusz Morawiecki – najpierw jako wicepremier, potem premier. Gdy wchodził do rządu Beaty Szydło, większość obserwatorów sceny politycznej sądziła, że będzie bezpartyjnym fachowcem. Tak jak Zyta Gilowska, która opuściwszy Platformę Obywatelską, weszła w 2005 roku do rządu Kazimierza Marcinkiewicza, a potem Jarosława Kaczyńskiego i przekonała rządzących do obniżki PIT i składek rentowych. Ale Morawiecki nie był zainteresowany stanowiskiem ministra finansów. Okazało się, że jego pasją jest sama polityka. Nawet gdy obejmował stanowisko ministra, to na krótko, z braku innego kandydata.

Pierwszym ministrem finansów w rządzie PiS był Paweł Szalama-cha – z wykształcenia prawnik, który w rządach Marcinkiewicza i Kaczyń-



• 9 czerwca. Konferencja prasowa premiera Mateusza Morawieckiego i ministrowi finansów Magdaleny Rzeczkowskiej. FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

skiego był wiceministrem skarbu państwa. Nie dogadywał się z Beatą Szydło, nie był też zaufanym człowiekiem Morawieckiego. Na stanowisku prze-trwał niespełna rok. Teresa Czerwińska utrzymała się przez półtora roku, a Tadeusz Kościński ponad dwa lata. Poległ na Polskim Ładzie – chaotycznym programie zmian podatkowych, który miał zapewnić wyborczy sukces rządzącej prawicy, a doprowadził do ogromnego bałaganu i ubytku miliardów złotych w finansach publicznych.

Kościński, który odszedł z rządu w lutym 2022 roku, w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” opowiadał o pracach nad Polskim Ładem. „Naszym zleceniodawcą był głównie pan premier. A on zbierał wszystkie pomysły, które wychodziły z Nowogrodzkiej, z innych ministerstw i z różnych instytucji”. Kościński przyznawał, że był tylko wykonawcą czyichś polecenia, a konkretnie Nowogrodzkiej, czyli Jarosława Kaczyńskiego i polityków, którzy podpowiadali Kaczyńskiemu różne pomysły.

Był zaufanym człowiekiem Morawieckiego, któremu podlegał w banku BZ WBK. Przez kilkadziesiąt lat pracował w brytyjskich i polskich instytucjach finansowych i znał się na bankowości. Nie miał jednak kwalifikacji do prowadzenia polityki makroekonomicznej.

To zresztą dotyczy wszystkich ministrów finansów w rządzie PiS. Szalamacha był prawnikiem, Morawiecki historykiem, Jerzy Kwieciński inżynierem, absolwentem Wydziału Inżynierii Materiałowej na Politechnice Warszawskiej, Marian Banaś ukończył Wydział Prawa i Administracji na UJ, Teresa Czerwińska – Wydział Zarządzania Uniwersytetu Gdańskiego, Magdalena Rzeczkowska Wydział Prawa i Administracji UW.

Makroekonomia nie jest wiedzą tajemną i można poznać jej tajniki z dostępnych podręczników. Zresztą wykładana jest także na studiach prawniczych i wielu innych. Tyle że profesjonalny ekonomista jest szczególnie uświadomiony na sprawę równowagi makroekonomicznej i warunków dla stabilnego wzrostu. W dodatku ministrowie finansów w rządzie PiS byli po

prostu – jak stwierdzał Kościński – wykonawcami poleceń polityków.

Mateusz Morawiecki, który też jest tylko wykonawcą poleceń prezesa PiS, nieustannie miesza analizę ekonomiczną z propagandą. Ponieważ w obozie PiS nie ma profesjonalnych ekonomistów z dużym autorytetem, politycy PiS przyjmują propagandę wymyślaną przez Morawieckiego i jego współpracowników za prawdę. Powtarzają więc slogany o rzekomych sukcesach gospodarczych Polski, których zazdrości nam cała Europa, a szczególnie Niemcy. Tymczasem sytuacja finansów publicznych staje się coraz trudniejsza, z czego być może nie zdają sobie sprawy także politycy opozycji, którzy mają wiele pomysłów na wzrost wydatków, gdy ewentualnie przejmą władzę, i nie przejmują się stabilnością finansów.

Duża część wydatków państwa już jest wyprowadzona poza budżet. Stan samego budżetu, a więc wydatków i dochodów zapisanych w ustawie budżetowej, jest niepokojący. 7 lipca posłowie przegłosowali nowelizację tegorocznego budżetu, zmniejszając planowane na cały rok dochody o 3,2 mld zł. Ale wyniki budżetu po pięciu miesiącach (od stycznia do maja), udostępnione przez Ministerstwo Finansów, wskazują na to, że rządowi trudno będzie uzyskać nawet te zmniejszone dochody.

W ciągu pięciu pierwszych miesięcy tego roku wpływy do budżetu z podatku dochodowego od osób fizycznych były nominalnie aż o 28 proc. niższe niż w tym samym czasie roku ubiegłego. To skutek zmian podatkowych wprowadzonych w roku ubiegłym w ramach Polskiego Ładu i nowelizowanych w ciągu roku. Ale także podatki pośrednie przyniosły budżetowi dochody niższe od planowanych. Dochody z VAT były po pięciu miesiącach nominalnie wyższe niż w roku ubiegłym zaledwie o 4,8 proc., dochody z akcyzy nominalnie wyższe o 4,7 proc. Ponieważ w okresie od stycznia do maja ceny były średnio o 15,5 proc. wyższe niż w tym samym czasie roku 2022, nastąpił realny spadek dochodów z VAT i akcyzy o blisko 10 proc. Dramatycznie obniżyła się ściągальność tych podatków. PiS wciąż

powtarza, że rządowi udało się trwale podnieść ściągальność podatków, dzięki czemu budżet może finansować zwiększone wydatki socjalne. No ale właśnie ściągальność mocno spadła.

Zaskakująco niskie były po pięciu miesiącach dochody z podatku dochodowego od osób prawnych, czyli CIT. Były nominalnie niższe o 1,6 proc. niż w roku 2022 przy wysokiej inflacji. Jest to sprzeczne z przekonaniem niektórych ekonomistów, jakoby firmy dzięki inflacji uzyskiwały nadzwyczaj wysokie zyski. No, chyba że zyski są, ale fiskusowi nie udaje się ściągnąć z nich podatków. Trzykrotnie spadły w porównaniu z rokiem ubiegłym środki z Unii Europejskiej i innych źródeł niepodlegające zwrotowi.

W okresach rosnącej inflacji budżet osiąga zwykle nadzwyczajne dochody praktycznie ze wszystkich rodzajów podatków. Sytuacja budżetu zmienia się na gorsze, gdy inflacja spada. W pierwszych pięciu miesiącach 2023 r. inflacja wyniosła średnio 15,5 proc., a w roku ubiegłym w tym czasie – 11,0 proc. Inflacja powinna więc pomóc budżetowi, ale nie pomogła. Spadająca inflacja w drugiej połowie tego roku i w roku następnym może sprawić jeszcze większe kłopoty.

Z tym problemem zderzy się przyszły rząd, niezależnie od tego, kto go stworzy. W opozycji pełno jest zagoni-czyków ostro krytykujących rząd PiS i obiecujących jeszcze wyższe wydatki oraz uszczuplenie dochodów z PIT przez zwiększenie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł rocznie. Nie wi-dać jednak w tym gronie kandydatów na stanowisko ministra finansów. Nie wykluczam, że są gdzieś schowani na zapleczu, tylko Donald Tusk nie dopuszcza ich do głosu, obawiając się, że przedstawiane przez nich pesymistyczne prognozy i propozycje ustabilizowania finansów zostaną wykorzystane przez propagandę PiS. Być może ma w pamięci wywiad z Markiem Belką, którego przyszedł minister finansów i wicepremier udzielił tuż przed wyborami w 2001 roku. Ostrzegwał w nim, że na skutek złej sytuacji budżetu rząd SLD będzie musiał zaciskać pasa na brzuchu wyborców. Sondaże pokazywały, że partia Leszka Millera ma wygraną w kieszeni i rzeczywście SLD wygrało, ale nie miało samodzielnej większości. Politycy SLD mieli do Belki wówczas pretensje, że jego wywiad odebrał im kilka punktów.

Są jednak wyborcy, którzy nie wierzą w cuda, wolą prawdę, nawet trudniejszą od propagandy. Po wyborach konieczna będzie konsolidacja finansów publicznych, czyli mówiąc prościej – ich naprawa. To znaczy, że trzeba będzie podnieść podatki, a rząd może mieć jedynie wybór – które bardziej, a które mniej. Wyższa kwota wolna w PIT nie jest wykluczona, pod warunkiem że ubytek zostanie zre-kompensowany np. likwidacją ulgowych stawek VAT. Gdybym wiedział, kto jest kandydatem demokratycznej opozycji na przyszłego ministra finansów, byłbym spokojniejszy o stan naszej gospodarki, a to znaczy: o stan Polski. ●

Witold Gadomski

FOT. TOMASZ STANCZAK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Przeczytałam po latach „Pana Samochodzika”

STRASZNIE Z TOMASZA OBRAŻAŁSKI TYP

• Pan Samochodzik jest bohaterem 15 książek Zbigniewa Nienackiego, które ukazywały się w latach w 1957-1985

Ile można znieść wykładów historycznych o uroku notki z Wikipedii? Ile stwierdzeń w stylu „to jest las państwowy, a ja jestem obywatelem tego państwa, czyli w pewnym sensie las ten jest i pod moją opieką”? Jak się czyta po latach „Pana Samochodzika”.

Maja Staniszevska

L dziwiło mnie, że w trzeciej dekadzie XXI wieku ktoś uznał za dobry pomysł ekranizację przygód Pana Samochodzika. A potem sięgnęłam do książki. W swojej podróży w przeszłość popełniłam błąd. Zaczęłam od książki, od której zaczęłam czytanie książek Zbigniewa Nienackiego, gdy miałam 10 lat, czyli od „Uroczyska”.

To nie był jeszcze „Pan Samochodzik”, choć później włączono tę książkę do serii i wydawano pod tytułami „Pan Samochodzik i święty relikwiarz” albo „Pan Samochodzik i uroczysko”, ale tu po raz pierwszy pojawił się Tomasz rozwiązujący kryminalne zagadki. Jako mała dziewczynka po lekturze bardzo chciałam zobaczyć romańską kolegiatę w Tumie pod Łęczycą, która stanowi kluczowe miejsce akcji.

Gdy teraz przeczytałam „Uroczysko”, miłe o nim wspomnienie rozwiało się jak dym.

PRZYSZŁY SAMOCHODZIK

Tomasz, student historii sztuki dorabiający pracę w gazecie i jeszcze nieposiadający charakterystycznego pojazdu, od którego wziął się jego pseudonim, zostaje członkiem ekspedycji archeologicznej badającej kurhan nieopodal kościoła, który zrobił na mnie tak wielkie wrażenie. Na nim też, ale równie wiele czasu jak zabytkowi bohater poświęca urodzie studentek, zwłaszcza jednej, której nadaje przydomek Babie Lato.

Miedzy kolejnymi komplikacjami prac archeologicznych, zagadką związaną z kolegiatą a piciem porzeczkowego wina Tomasz, który „odkrył niedawno, że ma przedziwną słabość do ładnych kobiet”, na przemian próbuje dziewczynę poderwać i ją obraża, próbuje w niej wzbudzić zazdrość i sam się na nią obraża. Porównuje też dziewczęta między sobą z wyglądu i choć ich nie zna, wygłasza autorytatywne sądy o ich charakterach i temperamentach. Najpierw roztkliwia się nad naiwnością dziewczyny, stawiając ją wyżej niż rozum, by na

następnej stronie wyzywać ją od idiotek. A tak naprawdę nie może się doczekać, aż będzie mógł którąś pocałować. Gdy pojawia się trzecia, młoda lekarka, która zagina na niego parol i sama domaga się pocałunku, Tomaszowi to się jednak nie podoba.

Przypomina w tym współczesnego internetowego wojownika wygłaszającego opinie o kobietach, na które nikt nie czeka. I który, gdy zwróci mu się uwagę, obraża się albo reaguje agresją. Tomasz sam się przedstawia jako osobnik zakompleksiony, wstydzący się braku talentów językowych (nie potrafi, mimo że uczył się łaciny w szkole, rozszyfrować krótkiej sentencji), sportowych (gdy dołącza do meczu siatkówki, jego drużyna przegrywa sromotnie) czy matematycznych (prowadzi mozolnie obliczenia na poziomie trzeciej klasy podstawówki), ale jednocześnie alergicznie reagujący na niewinne nawet żarty na swój temat.

Sama zagadka to dla Tomasa jeszcze jeden dowód ciemnoty okolicznych chłopów, o których wypowiada się z taką wyższością, że aż czytać hadko, rozwija się w tempie ślimaczym. A jedno z kulminacyjnych wydarzeń – odkrycie skarbu wewnątrz kurhanu – odbywa się jakby mimochodem i poza kadrem. To wszystko okraszone jest miniwykładami z historii oraz opisami przyrody – na zmianę powtarzającymi się i pretensjonalnymi jak ten: „Nachodzący wieczór niebieskim popiołem przyprószył wokół nas seledyn liści. Uczyniło się szaroróżowo, jakby ktoś pod wielki klosz powietrza włożył papieriek lakmusowy”.

PAN SAMOCHODZIK W SAMOCHODZIE

Postanowiłam sprawdzić, czy z właściwym „Panem Samochodzikiem” – serią rozpoczynającą się od „Wyspy złoćników” wydanej w 1964 roku – jest równie źle. Okazało się, że nie aż tak.

Czytając „Pana Samochodzika i wyspę złoćników”, w której Tomasz jest już historykiem sztuki obarczonym tajną misją odnalezienia skarbu dziedzica Dunina i wła-

ścicielem pojazdu z silnikiem Ferrari, który jest jednocześnie motorówką, widać, że Zbigniew Nienacki zrobił postępy w prowadzeniu narracji, podkreślił tempo akcji, wprowadził nieco humoru. Dał też Tomaszowi do pomocy rezolutnych harcerzy.

Nie dodał mu jednak ani krzty dystansu do siebie, nie poskromił też jego skłonności do wygłaszania przemądrzałych uwag ani nie poprawił jego stosunku do kobiet. A raczej dziewcząt, bo obiektami zainteresowania Tomasa są nastolatki i studentki. Pierwszą napotkaną w tej książce 16-latkę opisuje tak: „Dziewczyna była brzydka, ruda i bardzo piegowata”. drugiej, szczupłej blondynce z warkoczami autor daje pseudonim Zaliczka, bo „ze względu na swoją chudość stanowi coś w rodzaju zaliczki na dziewczynę”. Będzie jeszcze trzecia, studentka medycyny, która z tych trzech okaże się najinteligentniejsza i pana Tomasa wyprowadzi w pole, za co ten się na nią obrazi. Strasznie z niego zresztą obrażalski typ, właściwie wszystkim można go urazić.

Choć zdecydowanie lepsza od „Uroczyska”, nie jest „Wyspa złoćników” ciekawą lekturą. Też nie brakuje w niej przydługich wykładów. Zadufanie w sobie Tomasa i jego ryzykanctwo są obehwładniające, podobnie jak naiwność finału. W nim milicjant – i to nie byle jaki, bo oficer śledczy z Komendy Głównej – zabiera bandytom, którzy mogli być zamieszani w morderstwo, odnaleziony przez nich skarb i tylko spisuje ich personalia, grożąc paluszkami, gdyby nie stawili się na komendę.

PAN SAMOCHODZIK MNIE NIE WYCHOWA

Zaczęłam jeszcze czytać „Pana Samochodzika i templariuszy”, ale tej książki już nie skończyłam. Zrobiło mi się zwyczajnie szkoda czasu.

Ile można czytać o pięknej, acz przebiegłej Karen, córce słynnego poszukiwacza skarbów Petersena, czyhajęcej wraz z ojcem na ukryty gdzieś w Polsce skarb tem-

plariuszy i posiadającej „mniej rzucającą się w oczy”, ale jednak wciąż imponującą urodę dziennikarce Ance? Ile znieść wykładów historycznych o uroku notki z Wikipedii? Ile wygłaszanych z powagą stwierdzeń w stylu „to jest las państwowy, a ja jestem obywatelem tego państwa, czyli w pewnym sensie las ten jest i pod moją opieką”?

Pan Samochodzik, już pracownik departamentu ochrony zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki, wydelegowany, by skarb templariuszy znaleźć i zabezpieczyć dla państwa polskiego, w swojej misji jest tak śmiertelnie serio i nadęty, że zabrakło mi dla niego cierpliwości.

Gdy wspomniałam, że czytam książki Nienackiego, znajomi i znajome zaczęli się przerzucać wspomnieniami z lektur, przypominając Panu Samochodzиковi członkostwo w ORMO – Ochotniczej Rezerwie Milicji Obywatelskiej – i nadużywanie płynącej z tego „władzy” oraz niechęć do kobiet noszących spodnie. Tego jeszcze w przeczytanych przeze mnie książkach nie było, nie da się jednak ukryć, że od początku swojego istnienia był on wyjątkowo zadufanym w sobie mizoginicznym osobnikiem. Po co wyciągać go z zakurzonych półek?

NOSTALGIA DUSI ROZRYWKĘ

Wiem, że filmy i seriale na niespotykaną wcześniej skalę karmią się nostalgią – pierwszy z brzegu przykład to „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia”. I że dla wielu obecnych czterdziesto- i pięćdziesięcioparolatków Pan Samochodzik to właśnie taki nostalgiczny bohater z dzieciństwa jak Indy. Tyle że on nigdy nie miał jego szelmowskiego wdzięku. Nie był też, jak przeczytałam, „polskim Jamesem Bondem”. Tak można by ewentualnie nazwać, choć też raczej na wyrost, porucznika Borewicza z serialu „07 zgłoś się”.

W czasach po Danie Brownie, którego książki o poszukiwaniu zaginionych skarbów i rozwiązywaniu zagadek z przeszłości były bestsellerami początku XXI wieku, historyjki z „Pana Samochodzika” są zwyczajnie siemiężne. Nie bronią się też jako przygodowe książki dla młodzieży, która jeśli ma ochotę na taką polską serię, może sięgnąć po „Felixę, Neta i Nikę” Rafała Kosika. Choć i ta, wydawana już od prawie 20 lat, zaczyna się starzeć, a sposób przedstawiania w nich kobiet i dziewczyn też pozostawia nieco do życzenia.

„Pany Samochodziki” lepiej zostawić we wspomnieniach. ●

Kolarscy mutanci i nadludzie

– Postęp w technice jazdy, odżywianiu, sprzęcie? Bullshit, bullshit, bullshit! W dawnych czasach nakokszowani kolarze też tym tłumaczyli nieprawdopodobne wyniki – mówi Antoine Vayer, francuski były trener i ekspert od walki z dopingiem.

Radosław Leniarski

Tour de France znów narobił zamieszania w głowach kibiców. Podczas jazdy indywidualnej na czas lider wyścigu i jego późniejszy zwycięzca Jonas Vingegaard (Jumbo-Visma) na 22,4-kilometrowej górskiej trasie rozbił rywali tak, jak nikt w ostatnich dekadach. Takiej przewagi nie miał ani arcyoszust dopingowy Lance Armstrong, ani nigdy nieprzyłapany na doping Miguel Indurain, pięciokrotny zwycięzca i fantastyczny czasowiec.

Duńczyka nigdy nie przyłapano na doping. Powtarza, że brzydzi się nieuczciwością. Zaprzecza, żeby kiedykolwiek użył zakazanej metody lub środka. Powiedział nawet, że nie wzięłby do ust niczego, czego nie podałby swojej córce.

Ale Antoine Vayer nie ma wątpliwości, że w Tour de France toczy się tajemnicza gra. Vayer był trenerem odpowiedzialnym za jazdę na czas w grupie Festina od 1995 do 1998 r., kiedy tuż przed startem Tour de France w samochodzie ekipy policja znalazła mnóstwo recept na zakazane środki farmaceutyczne. Vayera nigdy nie oskarżono. Wypisał się z Festiny i podjął walkę z dopingiem na własnych zasadach. Wraz z kolarzem Christophe'em Bassonsem i innymi współzałożył platformę Clean Cycling Now (Oczyszczyć Kolarstwo Natychmiast), monitoruje zawodników, korzystając z własnych obliczeń mocy, z jaką pedałują. Tak jak swojego czasu Bassons, który pierwszy napisał w 1999 r., że wyniki Armstronga są podejrzane, tak i Vayer jest poddawany ostracyzmowi, w środowisku kolarskim mówią za jego plecami, że to klaun, a jego metody są podważane. Nic sobie z tego nie robi. A Bassonsowi historia po latach przyniosła rację.

ROZMOWA Z

ANTOINEM VAYEREM

francuskim byłym trenerem i ekspertem od walki z dopingiem

RADOSŁAW LENIARSKI: Nawet bijące rekordy świata chińskie biegaczki trenera Ma Junrena nie miały takiej przewagi nad rywalkami, jaką uzyskał Jonas Vingegaard na decydującej czasówce w Tour de France. A drugi zawodnik – Tadej Pogacar – to przecież as, jeśli chodzi o jazdę na czas. Dzięki niej wygrał swój pierwszy Tour de France trzy lata temu.

ANTOINE VAYER: – Mnie najbardziej zdumiewała różnica między Vingegaardem a Wouterem van Aertem, który jest wybitnym specjalistą od jazdy na czas, dwukrotnym wicemistrzem świata, triumfátorem czasówek w Tour de France i kolarzem, mimo wagi, znakomicie dającym sobie radę w górach. 2 minuty 51 sekund straty Belga na 22,4-kilometrowej trasie, to jest naprawdę niezwykle.

Zespoły jeżdżą coraz szybciej w Tour de France. Tłumaczą to postępem w metodach, technologii, diecie, w odżywkach i sposobach regeneracji, innym stylem ścigania się na etapach.

– Bullshit, bullshit, bullshit! [gówno prawda] W dawnych czasach też tym tłumaczyli nieprawdopodobne wyniki. W czasach Armstronga w jednym pomieszczeniu mówiono bardzo dużo o lepszych metodach treningu, a w drugim jednocześnie przetacza-



• Jonas Vingegaard na trasie czasówki tegorocznego Tour de France FOT. THIBAUT CAMUS / AP

no kolarzom natlenioną krew, która miała mnóstwo czerwonych ciałek po wysokogórskim treningu miesiąc wcześniej. Poprosiłem kiedyś Jean-Marie Leblanca, szefa Tour de France, o poważne wyjaśnienia w sprawie Armstronga. Dostałem od niego mail zacytujący się od słów: „Ej, Antoine, nie zapomnij o najnowszych zdobyczach techniki, dzięki którym możliwy jest postęp!”. Dokładnie to samo dzieje się teraz.

Niektóre rekordy wciąż się utrzymują. Iban Mayo wjechał najszybciej na Mont Ventoux w 1994 r., Marco Pantani wjechał najszybciej na l'Alpe d'Huez w 1997 r. Gdyby kolarze wciąż się szprycowali, te rekordy już by upadły...

– W 2003 roku byłem na starcie Tour de France. Dopchałem się do Armstronga i zapytałem go, czy w tym roku pobije rekord Pantaniego na l'Alpe d'Huez. Spojrzała na mnie i powiedział: Fuck Off!

Jestem pewien, że w 2001 r. byłby w stanie pojechać szybciej na tym legendarnym podjeździe, gdyby został przyciśnięty przez Ullricha. Ale cóż, w kolarstwie jest tak, jak w lekkoatletyce. Niektóre rekordy trwają, bo zostały pobite w czasie, gdy nie było żadnej, ale to żadnej kontroli. EPO było powszechne, a metody brutalne. Kiedy byłem trenerem w Festinie, wiedziałem, że w jednym z zespołów kolarskich dyrektor sportowy dopuszczał kolarzy do Giro, stosując hematokryt jako najważniejszy wskaźnik. Musiał wynosić nie mniej niż 60 procent [hematokryt to stosunek objętościowy krwinek czerwonych do pełnej krwi, bardzo ważny element w fizjologii wysiłku – rl]. „Jak chcesz wystartować, masz mieć 60 procent” – mówił kolarzom i oni słuchali. Krew, przy tak dużej gęstości, niesie znacznie więcej tlenu mięśniom. Mówię o zdarzeniach sprzed 1995 r., czyli przed wprowadzeniem przez UCI limitu 50 procent hematokrytu. Kto miał tyle lub więcej, nie zostawał dopuszczany do wyścigu ze względów zdrowotnych. Ten limit wciąż obowiązuje.

Bardzo chciałbym, żeby się wyjaśniło, dlaczego oni teraz tak szybko jeżdżą. Z pewnością to się kiedyś wyjaśni.

Jest pewna wskazówka. W czasie trwania pandemii medycyna szukała sztucznej hemoglobiny, bo wirus niszczył układ oddechowy nosiciela. Dla kolarstwa sztuczna hemoglobina to jakby Święty Graal. Transportowałaby tlen, nie będąc składnikiem krwinki czerwonej, i zwiększyłaby efektywność dostarczania tlenu do mięśni o 50 procent. To są

realne, wielkie korzyści, a nie nowe karbowe hamulce, czy 100 gram lakieru zdjęte z roweru [Jonas Vingegaard mówił, że z jego roweru zdjęto lakier, by uczynić go lżejszym w poszukiwaniu choćby minimalnych zysków – rl]. Nie wiem, czy sztuczna hemoglobina jest stosowana, czy nie. Nie wiem, czy są jakieś inne zakazane, nielegalne, najnowsze środki. Ja obserwuję kolarstwo i sprawdzam sezon po sezonie, wyścig po wyścigu, jak zmienia się moc, z którą pedałują kolarze. Na tej podstawie wysnuwam wnioski.

Sama różnica czasowa między pierwszym a drugim i trzecim kolarzem jazdy indywidualnej to chyba niewystarczający powód do oskarżeń, co najwyżej do okazania wątpliwości. Natomiast w pańskim zestawieniu średnia moc, jaką wyzwał na podjazdach Vingegaard w Tour de France w 2022 r., wynosiła 420 watów, maksymalna na szczycie 461 [Vayer bada moc, z jaką jadą kolarze na wyznaczonych przez niego odcinkach pod górę, tzw. radarach. Czas trwania podjazdu musi mieć około 30 minut, żeby próba była rzetelna – rl]. 461 to więcej niż Armstrong w sześciu z siedmiu edycjach Tour de France...

Byłem trenerem i wiem, że sport polega na poprawianiu się o kilka procent z sezonu na sezon. Ale o 16 procent?

– Ważniejsza jest średnia moc. W czasach powszechnego doping w latach 90. i później, w erze Armstronga, wielu zwycięzców jechało z większą niż Vingegaard mocą zarówno maksymalną, jak i średnią. Jeśli chodzi o najbardziej aktualne dane, musimy zacząć na koniec Tour de France. Z moich wyliczeń wynika jednak, że w tym roku Vingegaard może mieć średnią moc nawet 450 watów, a to byłoby znacznie więcej niż kolarze z ery Miguela Induraina, Bjarne Riisa, Jana Ullricha, Lance'a Armstronga. Uderza mnie fakt, że Jonas w ciągu jednej zimy poprawił swoją moc o 16 procent. W 2020 był poza radarem, nie było go wcale w Tour de France, ale wystartował w Vuelta Espana. W 2020 r. był tam etap z metą na piekielnie trudnym Alto de l'Angliru, jednym z najtrudniejszych pod-

jazdów w zawodowym kolarstwie. Był wtedy na szczycie zaledwie 14., z mocą 370 watów. A w następnym roku był już drugi w Tour de France.

Czyli Vingegaard nie znokautował konkurencji dzięki zdarciu lakieru z roweru?

– Byłem trenerem i wiem, że sport polega na poprawianiu się o kilka procent z sezonu na sezon, i jeśli to się uda, można uznać, że zawodnik należy do wybitnych, pojętnych i pracowitych. Ale o 16 procent? To niemożliwe w naturalny sposób i nie dajmy się nabrać na tłumaczenia o technologii, o treningach w warunkach wysokogórskich, o szlifowaniu lakieru, bo po pierwsze, one nie dają aż tak wielkich korzyści, a po drugie, wszyscy to robią. Tymczasem na czasówce rozkład prędkości jest taki, że Vingegaard jedzie 41,2 km na godzinę, Pogacar 39,3 km na godz. i aż 55 kolarzy zaledwie 34 km na godz. Mogę powiedzieć, że Vingegaard jest mutantem, to moje określenie. Pogacar jest człowiekiem z nadprzyrodzonymi mocami. Oni są jak postaci z komiksów Marvela. Tylko że to dzieje się naprawdę, a nie na kolorowych stronach.

Czy można lepiej sprawdzać kolarzy? Przecież UCI jest i tak w awangardzie walki z dopingiem.

– Potrzebna jest wola polityczna sportowych władz. Napisałem tekst w 2011 r., w którym postulowałem wprowadzenie kilku reformatorskich punktów. Oczywiście żaden nie został zrealizowany, w związku z czym wszystkie są aktualne i pożądane. Pierwszy mówi o konieczności powołania komisji podobnej do Komisji Prawdy i Pojednania, która pracowała w RPA po zakończeniu ery apartheidu. Uważam, że to najważniejszy postulat. Dzięki komisji ludzie zrozumieli zło i tym bardziej chcieli się go pozbyć. Drugi punkt mówi o organizacji badającej doping i nieuczciwość na wzór takiej, jaka funkcjonuje w światowej lekkoatletyce. Punkt numer trzy: współpraca z naukowcami w sprawie nowych metod. Z najlepszymi, z koncernami medycznymi. Jest też punkt czwarty: wymiana elity władzy kolarskiej. ●

Tour de France zakończył się wczoraj. Wyścig wygrał Jonas Vingegaard (Dania, Jumbo-Visma) z gigantyczną przewagą ponad siedmiu minut nad Tadejem Pogacarem (Szwecja, UAE Emirates). Trzeci był Adam Yates (Wielka Brytania, UAE Emirates).

APTEKA DLA PACJENTA! STOP DROŻYŹNIE LEKOWEJ!

- apel środowiska aptekarzy i właścicieli aptek przeciwko zmianom prawa skutkującym likwidacją aptek, przeciwko dyktatowi cenowemu hurtowni farmaceutycznych i podnoszeniu cen leków

Środowisko polskich aptekarzy i właścicieli aptek protestuje przeciwko uchwaleniu zmian prawa farmaceutycznego. Procedowane obecnie w Sejmie RP prawo uwzględnia jedynie interesy nielicznej grupy dużych hurtowników leków, ignorując negatywne skutki dla pacjenta. Polscy obywatele, w szczególności: pacjenci, osoby starsze i wszystkie te, które potrzebują natychmiastowego podania leków ratujących zdrowie i życie na proponowanych zmianach stracą najwięcej. Nowe prawo oznacza utrudniony dostęp do aptek, zdecydowanie droższe leki, utratę miejsc pracy dla młodych aptekarzy. Dlatego dziś wyraźnie mówimy: Stop likwidacji aptek! Stop drożyznie cenowej leków! Apteka powinna służyć pacjentowi, nie zaś wybranym hurtownikom farmaceutycznym.

W imieniu środowiska reprezentującego olbrzymią część rynku aptecznego, w tym zarówno podmioty o zasięgu ogólnopolskim, jak i mniejsze sieci rodzinne zwracamy się z Apelem o odrzucenie procedowanych obecnie propozycji zmian ustawy „Prawo farmaceutyczne”.

Proponowane wrzutką poselską zmiany prawa służą bardzo wąskiej grupie aptekarzy, związanych w programach partnerskich z największą hurtownią farmaceutyczną w Polsce. To oni wzmocnią jeszcze bardziej swoją pozycję dominującą, czyniąc biznes aptekarski intratnym tylko dla wybranych. Zapłacą za to pacjenci. Wszelkie zmiany w rynku aptecznym powinny być wprowadzane z myślą o dobru pacjentów, nie zaś wybranej grupy przedsiębiorców. Politycy służący obywatelom a nie polityce powinni o tym doskonale wiedzieć.

Pod nośnym hasłem „Apteka dla aptekarza”, pacjentom polskim zafundowano pułapkę, gdyż zmniejszenie liczby aptek i ich rozproszenie oznacza leki droższe i trudniej dostępne. Leki dla Polaków powinny być dostępne i tanie!

Od przyjęcia w 2017 roku zmian pod hasłem „Apteka dla aptekarza” systematycznie spada liczba aptek w Polsce. Obecne projektowane zmiany niestety proces ten przyspieszają. Już dziś w wielu miejscowościach, szczególnie na obszarach wiejskich lub małych miastach, działa tylko jedna apteka, która niezagrożona pojawieniem się konkurencji, korzysta z pozycji lokalnego monopolisty, stosując wysokie ceny leków, proponując ograniczony asortyment. Apteki zgrupowane w sieci aptecznej - najczęściej te małe, rodzinne, bo takich w Polsce jest najwięcej, mogą pozwolić sobie na utrzymanie apteki wszędzie tam, gdzie indywidualna apteka się nie utrzyma. Tym samym takie apteki są bliżej ludzi. Dla osób starszych i chorych, odległość do apteki i cena leków mają duże znaczenie.

Dziś tylnymi drzwiami legislacji, skrycie, bez żadnej konsultacji społecznej, z poparciem Naczelnej Izby Aptekarskiej, reprezentującej jedynie beneficjentów zmian, czyli wąską grupę interesów - zmienia się prawo na niekorzyść polskich pacjentów. Wyraźnie podkreślamy, że na proponowanych zmianach ustawy skorzystają tylko wybrani przedsiębiorcy apteczni oraz wielkie hurtownie leków, które już dzisiaj dyktują ceny i dostępność dla polskich pacjentów. To właśnie duże hurtownie farmaceutyczne, zyskując mocniejszą pozycję negocjacyjną nad małymi, niezrzeszonymi aptekami decydować będą o nowych, wyższych cenach leków dla pacjentów. Dzisiaj hurtownie farmaceutyczne mają po drugiej stronie silnego gracza – sieci apteczne negocjujące z powodzeniem niskie ceny leków i wysoką ich dostępność. Brak zgrupowanych, działających razem aptek oznacza nieograniczoną możliwość zwiększania marż, podnoszenie cen leków i powiększanie zysków. Wszystko ostatecznie odbije się na kieszeni pacjenta.

Nowe prawo chroni interes nielicznych uderzając w zdecydowaną większość pacjentów! Złe zmiany prawa negatywnie odczują najszybciej najbiedniejsi i osoby starsze. Dla nich leki z pewnością będą droższe, a droga do apteki znacznie się wydłuży.

Prawo powinno powstawać w sposób transparentny, w oparciu o szerokie konsultacje społeczne. Tym razem tak jednak nie było. W ukryciu przed opinią publiczną, w antydemokratycznym, niekonstytucyjnym trybie podjęto próbę przeforsowania szkodliwych zmian ustawowych. Tym samym destabilizuje się prawo, wywołując niepokój inwestorów (polskich i zagranicznych), o których przecież rządzący tak bardzo zabiegają. Okazuje się, że w imię interesu określonej, wąskiej grupy, nawet ze stratą dla obywateli w Polsce, możliwa jest zmiana legislacyjna, wywracająca porządek prawny.

Likwidacja tysięcy aptek oznacza także likwidację tysięcy miejsc pracy. Na to również się nie zgadzamy. Jako środowisko nie pozostaniemy bierni wobec tak szkodliwych zmian. W najbliższych dniach podejmujemy bardzo szeroko zakrojone działania informujące Polaków o skutkach wdrożenia procedowanej ustawy, jej beneficjentach i tych wszystkich, którzy odpowiadają przed obywatelami za problemy wynikające z proponowanych zmian prawa. Rozpoczynamy bezpośrednie działania skierowane do pacjentów naszych aptek, jak również szeroko zakrojoną kampanię informacyjną w mediach. Chcemy uświadomić wszystkim szkodliwość społeczną i prawną promowanych obecnie w Sejmie rozwiązań.

Apelujemy tym samym bardzo wyraźnie: APTEKA DLA PACJENTA!

APTEKARZE POLSCY
w imieniu 219 podmiotów

Iga Świątek gra u siebie

Imprezę z mozołem organizuje jej ojciec, Polacy już dawno wykupili bilety na decydujące mecze, mimo że nie wiadomo, czy liderka rankingu w nich zagra, czy nie odpadnie wcześniej jak rok temu. Innymi słowy: znowu presja.

Marek Deryło

W ostatnim czasie Iga Świątek dwa razy w ciekawych kontekstach – i z dużym uznaniem – użyła słowa „freedom”, czyli wolność, swoboda, luz. Przed bardzo trudnym zwycięskim finałem Roland Garrosa w czerwcu o swojej rywalce Karolinie Muchovej mówiła: „Ten jaś luz w jej sposobie poruszania się...”. A niedawno, po porażce w ćwierćfinale Wimbledonu z Eliną Switoliną, powiedziała o rywalce: „Grała z większą swobodą”.

Była dziennikarka „L'Equipe” Carole Boucharde napisała po meczu Świątek – Switolina: „Tutaj nie chodziło o nawierzchnię [Świątek na trawie gra się trudniej niż na innych kortach]. Forhend nie funkcjonował i spanikowała. Byłam przekonana, że po wygraniu przez nią drugiego seta już wszystko wróci w jej grze do dobrego stanu, ale ona ciągle była tak bardzo spięta”.

Przed Rolandem Garrosem o Świątek rozmawiał z Canal+ Ivan Ljubicic, były znakomity tenisista, w ostatnich latach trener Rogera Federera. I powiedział: „Mam wrażenie, że jest zbyt zestresowana, zbyt poważna. Wiem, że to jej styl bycia i dzięki temu wygrywa. Niemniej czasami myślę o tym w kontekście mojej pracy z Rogerem Federerem i sądzę, że jeśli chce się mieć długą karierę [taką jak np. Federer], a to też jest istotne, powinno się czasami trochę wyluzować. Chciałbym widzieć tenisistki cieszące się swoją obecnością w turniejach. A często widzę ich ból. Brakuje mi w tym wszystkim większej ilości luzu”.

Gdy Świątek na początku roku przegrała w styczniu w IV rundzie Australian Open, mówiła: „Zamiast myśleć: »Chcę wygrać«, myślałam: »Nie chcę przegrać«”. Po tamtej porażce zrobiła sobie pewną przerwę, po niej powiedziała, że reset polegał głównie na tym, by „obniżyć oczekiwania wobec siebie samej”.

• **Przed rokiem Iga Świątek odpadła w ćwierćfinale turnieju w Warszawie po porażce z Caroline Garcia**

FOT. KUBA ATYS / AGENCIA
WYBORCZA.PL



Spinające nastawienie „Nie chcę przegrać” może wrócić w Warszawie. Choć jest to turniej rangi WTA 250, czyli niezbyt duży (puła nagród wynosi 259 tys. dol., zwycięzcy otrzymają prawie 35 tys. brutto), to dla Świątek bardzo istotny. To jedyny raz w roku, gdy gra w Polsce. Imprezę organizuje jej ojciec – postać dla tenisistki niezmiernie ważna – a tu i ówdzie słychać, że zorganizowanie wydarzenia nie jest takie proste finansowo. Nie wygląda to podobnie tak, iż Tomasz Świątek przypomina, że jest ojcem Igi, i sponsorzy walą drzwiami i oknami.

Może jednak nocleg w domu?

Korty Legii nie są wielkie, trzeba – jeśli jest się kibicem – ryzykować. Czyli kupić bilet jeszcze przed początkiem turnieju, a więc bez gwarancji, że Iga Świątek zagra w półfinale i finale. Rok temu jeden bilet – kategoria 1, niewiele droższa niż 2 – na dzień półfinałowy kosztował 250 zł, na finał – 350. Jeśli ktoś zamierzał wybrać się rodzinnie, np. w trójkę, musiał spo-

ro zapłacić. I jeszcze nie był pewien, czy zobaczy mistrzynię, czy ona dotrze do tego etapu.

Świątek odpadła wówczas w ćwierćfinale, przegrywając z Caroline Garcia, późniejszą triumfatorką imprezy. Przed tamtym meczem Polka powiedziała, że mieszka w hotelu, a nie w domu w podwarszawskim Raszynie (samochodem pół godziny lub mniej od kortów Legii). – W domu zawsze znajduję coś do roboty, mogłoby to mnie rozpraszać. Chciałam stworzyć sobie takie warunki, jakie mam, grając w innych krajach – tłumaczyła.

Całkowicie profesjonalnie, ale Ljubicic pewnie doradziłby spanie w domu i jeszcze gry planszowe z mnóstwem śmiechu późnym wieczorem. Może niekoniecznie ze szkodą dla formy na korcie.

Możliwy finał jak w Paryżu

W tym roku ceny biletów (w I turze sprzedaży) wynosiły na półfinały – od 140 do 220 zł (bilet VIP – 600), na finał – od 160 do 240. Szyb-

*To jedyny raz w roku,
gdy Iga Świątek
gra w Polsce*

ko zostały wyprzedane. Jeśli wszystko ułoży się optymalnie, w finale zagrają Świątek i Muchova. To ten sam skład co w finale Roland Garrosa w czerwcu. Wtedy nasza reprezentantka w znakomitym meczu odrobiła straty w trzecim secie i wygrała 6:2, 5:7, 6:4.

Mecz I rundy turnieju BNP Paribas Warsaw Open Świątek ma rozegrać jutro o 17.30. Jej rywalką będzie reprezentantka Uzbekistanu Nigina Abduraimova, 177. w rankingu. Finał w niedzielę. Transmisja turnieju w TVP – mecze liderki rankingu w Jedyńce, inne wybrane w TVP Sport. ●

Kto nie oszczędzał, ten wygrywa

Cztery najlepsze drużyny poprzedniego sezonu wygrały swoje mecze w pierwszej kolejce ekstraklasy.

Coś drgnęło już w ostatnim sezonie. W lidze, w której przez całe lata wyniki wyglądały jak wyjęte z bębna maszyny losującej, w której drużyna z końca tabeli mogła wygrać z liderem i mało kogo to dziwiło, tym razem mieliśmy cztery zespoły wyraźnie odstające od reszty. Tabela na koniec rozgrywek pokazywała różnicę między nowym mistrzem, trzema zespołami ze ścisłej czołówki i całą resztą. Raków Częstochowa wyprzedził Legię Warszawa aż o 9 pkt, między Rakowem a Piastem Gliwice – piątą drużyną sezonu, najlepszą z tych, które nie załapały się do europejskich pucharów – były aż 22 pkt różnicy. Przepaść. Drugą w tabeli Legię od czwartej Pogoni dzieliło 6 pkt. Trzeci był Lech, punkt nad Pogonią.

W drużynach, które awansowały do europejskich pucharów – Ra-

kowie, Legii, Lechu Poznań i Pogoni Szczecin – latem nie doszło do radykalnych zmian, najpoważniejszą była zmiana trenera u mistrzów Polski, gdzie Marka Papszuna (nie przedłużył kontraktu) zastąpił jego asystent Dawid Szwarga. Raków, choć jego właściciel zapowiadał, że latem na transfery wyda nie więcej niż pół miliona euro, tylko na Johna Yeboahę wydał trzykrotność tej sumy. A gdy ofertę Rakowa – a nie z amerykańskiej MLS lub z Bundesligi – przyjął Sonny Kittel z HSV Hamburg, jasne stało się, że częstochowianie wcale nie włączyli trybu oszczędnościowego, bo Niemiec stał się prawdopodobnie najlepiej zarabiającym piłkarzem ligi. I że mimo braku porządnego stadionu mistrzostwo Polski wcale nie musi być sufitem tej drużyny, która mimo ciężkiej kontuzji Iviiego Lopeza jest mocniejsza niż przed rokiem.

Lech ruszył na zakupy po tym, jak sprzedał za 6 mln euro do Club Brugge reprezentanta Polski Mi-

chała Skórasią. Latem pobił rekord transferowy ligi, za 1,8 mln euro w Poznaniu pojawił się reprezentant Iranu Ali Gholizadeh kupiony z belgijskiego Charleroi. Pieniądze zarobione w pucharach w poprzednim sezonie – ok. 8 mln euro za awans do ćwierćfinału Ligi Konferencji – już w większości wydał na nowych graczy i utrzymanie tych, którzy byli w kadrze. Nowe, wyższe kontrakty w ostatnich miesiącach podpisali bowiem m.in. Nika Kvekveskiri, Antonio Milić, Jesper Karlström czy Mikael Ishak. Lech stawia więc na stabilizację.

Z Legii odszedł latem Filip Mladenović (koniec kontraktu), właśnie finalizowana jest sprzedaż Maika Nawrockiego (nawet 5 mln euro do Celtic Glasgow). Braki zostały uzupełnione głównie na rynku krajowym, i to bez płacenia odstępnego poprzednim klubom. Na tych zasadach na Łazienkowskiej pojawili się król strzelców ostatniego sezonu ekstraklasy Marc Gual (ostatnio Jagiellonia Białystok) i powo-

lywany do reprezentacji Polski Patryk Kun (poprzednio Raków). Pogon Szczecin z kolei wykosztowała się na kontrakt dla Efthymiosa Koulourisa, napastnika, który pięć lat temu był królem strzelców greckiej ekstraklasy.

Tak przemeblowani pucharowicze przystąpili do nowego sezonu. I w komplecie wygrali swoje pierwsze mecze: Pogoń na wyjeź-

dzie z Wartą Poznań 1:0, Legia u siebie z ŁKS Łódź 3:0, Raków 3:0 na własnym stadionie z Jagiellonią Białystok i Lech w Gliwicach 2:1 z Piastem. Żadnych potknięć na początku rozgrywek, żadnych falstartów.

Ale przykład z poprzedniego sezonu uczy, by nie wyciągać zbyt szybko wniosków: lider po ósmej kolejce – Wisła Płock – spadł później z ligi. ● **Marcin Wesołek**

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub

z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: kolportaz@wyborcza.pl
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Agora SA, ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

